◆ ARAGON ◆ BIEŃKOWSKI ◆ IŁŁAKOWICZÓWNA ◆ JASTRUN ◆ SPYCHALSKI ◆ SZUMAN ◆

CZYTELNIK

ODRODZENIE

TYGODNIK

Nakład: 40.000
Redakcja: Oszyńskiego 16
Administracja: Łaszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok V | Warszawa, dnia 23 maja 1948 r. | Nr 21 (132)

LEON KRUCZKOWSKI

FINALE BERLINA

1. Było to pod koniec lata 1941, za drutami Oflagu II B. Jeden z kolegów - jeńców nabył w kantynie (prowadzonej przez feldfebla, partyjnego hitlerowca) jakiś drobiazg z galanterii skórzanej, portmonetkę czy portfel, coś w tym rodzaju. Przyniósł ten nabytek na salę i przy dokładniejszych oględzinach znalazł w jednej z licznych skrytek i przegródek kartkę papieru wielkości biletu tramwajowego. Na kartce zwyczajnym ołówkiem wypisane były cztery zdania:

„Nieder mit dem Nationalsozialismus"
„Es lebe Freiheit"
„Nieder mit dem Krieg"
„Es lebe Kommunismus"

Miałem przez chwilę w ręce ten świstek papieru i odczytywałem jego treść kilkakrotnie z uczuciem i wzruszenia, i zażenowania. Nieznana ręka, prawdopodobnie robotnika lub robotnicy w jakiejś niemieckiej fabryczce galanteryjnej, ręka, która — może z narażeniem życia — napisała te cztery krótkie zdania, zamajaczyła mi na chwilę jak ręka człowieka tonącego — nad falami rozszalałej rzeki. Przypominam, było to pod koniec lata 1941! Właśnie padł Smoleńsk czy bodaj już Wiazma i Briańsk. Komunikaty Wehrmachtu mówiły o ostatecznym złamaniu sił obronnych Związku Radzieckiego. Ludy Europy wstrzymywały oddech od grozy, a naród niemiecki oszalał ostatecznie w entuzjazmie dla Hitlera. Naród, który — wedle wiarogodnych relacyj — w ostatnich godzinach sierpnia 1939 z niedowierzaniem pełnym troski i utajonego lęku przyglądał się ruszającej na Polskę machinie wojennej Trzeciej Rzeszy, w dwa lata później, mając już za sobą serię oszałamiających zwycięstw, wyzbył się ostatecznie wszelkich hamulców niepewności czy rozwagi i uwierzył bez zastrzeżeń nie tylko w geniusz „Führera", ale i w swoją własną, bajeczną, na tysiąc lat zapowiedzianą karierę historyczną. Nieznana ręka, która — w tych warunkach — gdzieś tam ukradkiem wsunęła świstek papieru z czterema nagryzmolonymi zdaniami w skrytkę tandetnego portfelu, była ręką człowieka samotnego lub prawie samotnego w swoim społeczeństwie. Te cztery zdania zabrzmiały mi wówczas jak przejmujący szept z katakumb, z takich podziemi ostatecznej, zdawało się, beznadziejności i zatraty, w jakich chyba nigdy jeszcze i w żadnym kraju nie pogrzebano wolnej myśli wolnego człowieka.

W trzech czwartych Europy konspirowano wówczas przeciw jarzmu, przeciw Niemcom, przeciw szalejącemu systemowi niekończącej się zbrodni. Ale konspiratorzy w Polsce, w Związku Radzieckim, we Francji czy Jugosławii czuli za sobą potężne zaplecza milionowych mas ludności swoich krajów; ich mową codzienną był huk wysadzanych mostów i pociągów wojskowych, ogniem prażący wroga język partyzantów i bojowców. Antyfaszysta — Niemiec skazany był na własne jedynie, wewnętrzne siły, szczelnie izolowany w swym środowisku narodowym miał oparcie tylko w samym sobie. Jego mowa była tragicznym szeptem, jego działalność sprowadzała się do dawania światu nikłych znaków z samego dna topieli: Jestem. Trwam. Wierzę.

2. Opisane wyżej zdarzenie z lat obozowych ożyło w mojej pamięci ostatnio, podczas paru dni spędzonych nad ogromnym 700-stronicowym tomem powieści Heinza Reina **„Finale Berlin"**. Ta niedawno wydana w Berlinie książka jest relacją o ostatnich trzech tygodniach życia, a raczej agonii, stolicy „Trzeciej Rzeszy". Jej akcja trwa od 14 kwietnia do 2 maja 1945. Ale te daty, to tylko więź konstrukcyjna; właściwy zakres treściowy powieści Reina jest znacznie szerszy. Prowadzi w głąb duszy niemieckiej, w głąb małości wielkiego narodu.

Heinz Rein (pseudonim czy przypadkowy symbol?) jest, jeśli sądzić z jego książki, niemieckim antyfaszystą. Nic dziwnego, że na śmiertelne konwulsje hitleryzmu każe nam w swej powieści patrzeć oczyma szczupłej garstki konspirujących berlińskich antyhitlerowców. Poznajemy ich kilku, ludzi o różnych obliczach i różnej przynależności socjalnej, o różnym przede wszystkim stopniu i rodzaju świadomości politycznej. Jedni — z bogatą przeszłością działaczy i bojowników, czynnych przeciwników narodowego socjalizmu jeszcze sprzed roku 1933: to w pierwszym rzędzie komunista Wiegand, były poseł do Reichstagu, były więzień Oranienburga, od r. 1941 „nielegalny"; to, obok niego, lewy socjaldemokrata dr Böttcher; to właściciel małej piwiarni przy Schlesicher Bahnhof, Oskar Klose, dobroduszny i wytrawny, o niełatwej do ugryzienia naturze doświadczonego proletariusza: wszyscy trzej aktywni konspiratorzy, członkowie miniaturowej grupy oporu „Berolina". Inni — raczej produkty rozpadu Trzeciej Rzeszy, rozbitkowie pękających naw, najuczciwsi, najodważniejsi czy może tylko najbardziej zmęczeni z wielomilionowej masy narodu, któremu po dniach zbrodniczego szaleństwa zaczyna zaglądać w oczy groźny cień nadchodzącej katastrofy: to przede wszystkim główna — jeśli chodzi o fabułę — postać powieści, Joachim Lassehn, 22-letni dezerter z szeregów Wehrmachtu, naiwny politycznie i życiowo artysta - muzyk, szybko przeistaczający się pod wpływem ludzi i zdarzeń w czynnego bojowca - konspiratora.

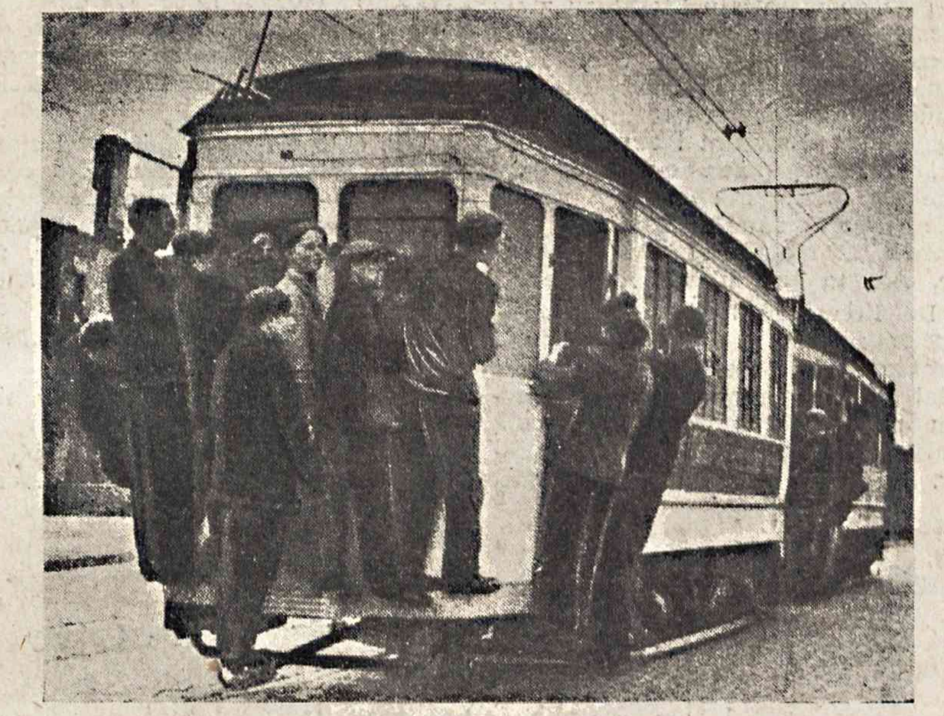
„Sprawiedliwi z Sodomy"? Zapewne. Ale Heinz Rein bynajmniej nie po to ukazuje nam garstkę niemieckich antyhitlerowców, aby zbawić całą resztę, odkupić przez nich niezmierzone winy i zbrodnie narodu niemieckiego. Zbyt okrutna jest przede wszystkim dysproporcja między żałośnie nikłą, miligramową wagą działalności tych kilku ludzi a potwornym brzemieniem tamtych win i zbrodni. Co najważniejsze jednak, żadne zamysły „rehabilitacyjne" nie przyświecały autorowi. W każdym razie nie można ich wyśledzić w samym nurcie powieści. Przeciwnie, Rein stara się obnażyć całą muskulaturę psychiczną swojego narodu, wytropić w niej wszystkie elementy, które hitleryzm przyjął za punkt wyjścia dla swej potwornej szkoły wychowawczej: szkoły depprawacji i wynaturzenia. W polu widzenia Reina nawet cnoty niemieckie — słynne, tradycyjne cnoty tego społeczeństwa sentudnych mieszczuchów — nawet one stają się odrażające jako składnik w piekielnym cocktailu rasistowsko-nazistowskim. Ściśle biorąc, właśnie one były tam składnikiem jednym z najgroźniejszych.

Nie, ta garstka „sprawiedliwych", której losy śledzimy, dzień po dniu, w powieści Reina nie rehabilituje nikogo. Jest to garstka ludzi samotnych — to może któryś z nich właśnie dawał światu w r. 1941 szeptane znaki z dna topieli, przemycając w skrytkach galanterii skórzanej karteczki z antyfaszytowskimi hasłami? Tylko że wtedy można było przynajmniej w pewnym stopniu pojąć ich samotność. Niepojęte jest dopiero to, co przedstawia Rein w swej powieści: ci ludzie są niemal równie samotni w kwietniu 1945, w płonącym i walącym się w gruzy Berlinie! Zachowanie się społeczeństwa niemieckiego w przededniu upadku Hitlera jest niewątpliwie jedną z największych zagadek psychosocjologicznych, jakie zna historia. „Finale Berlin" Reina przybliża nas o kilka dobrych kroków do rozwiązania tej zagadki.

3. Naprzód nieco o ludziach i zdarzeniach: trochę fabuły. Nas, którzyśmy przez pięć lat byli „Nebenlandem" Trzeciej Rzeszy, „ludnością nie-niemiecką" Generalnej Guberni, albo więźniami niezliczonych „lagrów", interesuje w książce Reina nie tylko klucz do tajników psychologii hitleryzmu. Zaciekawia nas w niej również — jak to tam było wtedy „u nich", jak „oni" przeżywali te ostatnie dni, co „oni" myśleli i czuli, kiedy Berlin walił się im na głowy — nie tylko jako miasto, ale zarazem jako symbol niemieckiego zła?

14 kwietnia 1945, kiedy zaczyna się akcja powieści, ten Berlin jest już miastem śmiertelnie okaleczonym. Na jego niebie panuje bezlitośnie i bezwarunkowo lotnictwo sojusznicze, dzienne i nocne bombardowania są od wielu tygodni tak systematyczne, że regulują tryb życia mieszkańców o wiele skuteczniej niż zegary. To „życie" upływa głównie w schronach i piwnicach. Sparaliżowana sieć komunikacyjna miasta dogorywa. Płoną i walą się dworce, fabryki i całe dzielnice. Zamiera gaz i elektryczność, zawodzą wodociągi. Nie zawodzi — wciąż jeszcze — tylko jedno: system, straszliwy system hitlerowskiego szaleństwa. W dżungli zamierającego miasta roją się, jak złe szczury, rozbiegane oczy kanalii partyjnej, SS-mańskiej, gestapowskiej... Te oczy są zresztą raczej nieodzownym składnikiem hitlerowskiego pejzażu, niż mają jakieś praktyczne znaczenie; zbyt rzadko znajdują okazję do interwencji. Nie dlatego żeby nie były dostatecznie czujne, tylko po prostu dlatego że wśród trzymilionowej ludności miasta aktywni przeciwnicy upadającego zbrodniczego systemu wciąż jeszcze należą do rzadkich wyjątków!

Właśnie w ustronnej knajpce jednego z takich, starego Oskara Klose, zjawia się — na łyk podłego piwa — dezerter Joachim Lassehn. Opuścił swój oddział podczas walk odwrotowych na Dolnym Śląsku. Czy chciał w ten sposób ratować swoje życie? — chyba nie, odkąd zdezerterował, naraża je codziennie i co go-



Niemcy powojenne: typowa ulica berlińska

dzina, może niebezpieczniej niż na froncie. Po prostu bliskość Berlina zniewoliła go jak potężny magnes. Trudno było dezerterować znad Wołgi, o wiele łatwiej znad Nysy Łużyckiej. Berlińczyk z urodzenia, czułby się w dżungli stolicy jak w domu, gdyby nie to, że w ogóle nie ma żadnego domu. Starzy rodzice wraz z mieszkaniem i fortepianem padli przed rokiem ofiarą bomby angielskiej. Nie, 22-letni student konserwatorium Joachim Lassehn nie ma w Berlinie nikogo — nikogo prócz... żony. Właściwie, nie zna jej wcale. Przed dwoma laty, podczas krótkiego urlopu z frontu poznał w tramwaju przystojną dziewczynę, nazajutrz poślubił ją w urzędzie stanu cywilnego po czym przeżyli jeszcze osiem dni i nocy w łóżku, w małym mieszkanku, które zajmowała z ciotką. Pamięta dość dobrze jej nogi, jej piersi i jej sposób całowania, twarz znacznie mniej — i nie wie o niej nic ponadto. Prawda, pamięta jeszcze imię, panieńskie nazwisko i — mniej więcej — adres. A jednak, w potężnym magnesie Berlina to ona przede wszystkim, Irma, była tą zniewalającą siłą, która z żołnierza Lassehna zrobiła dezertera. Miłość, tkliwość, czułość — tym tylko warto żyć, za tym tęsknił jak potępieniec w okopach i w marszach, w całej obrzydliwości tej wojny, której od początku nienawidził. Musi odszukać Irmę, mówić z nią...

Stary Klose jednym rzutem wytrawnego oka przenika i ocenia takich jak Lassehn żółtodziobów. Prawdę mówiąc, poluje na takich: ma dla nich różne pożyteczne, choć ryzykowne zajęcia, na przykład kolportowanie ulotek... Knajpa Klosego i ustronne przy niej mieszkanko z dobrze zamaskowaną piwnicą jest punktem spotkań paru interesujących ludzi. Lassehn przy całej swej politycznej i życiowej naiwności nie może i nie powinien chodzić luzem za swoimi jedynie sprawami. Ostatecznie, jako dezerter i tak nie ma już nic do stracenia. W oparciu o kilku porządnych, doświadczonych i odważnych ludzi ma nawet większe szanse przetrwania nadchodzącego ostatniego aktu katastrofy.

W ten sposób w knajpce Klosego los Lassehna sprzęga się z losami garstki berlińskich konspiratorów-antyfaszystów. Młody muzyk przechodzi przy nich skrócony kurs politycznego alfabetu, przede wszystkim jednak uczy się — działać. Sytuacja wymaga bowiem aktywności, okazje do szybkich, zdecydowanych czynów przychodzą jedna po drugiej, zmusza do nich sam instynkt obrony. Dwa razy w ciągu paru dni Lassehn robi użytek z pistoletu, z którym się nie rozstaje od chwili ucieczki z frontu — dwa razy ratując siebie i towarzyszy przed pewną zgubą. Za trzecim razem ratuje tylko siebie terroryzując bronią Irmę Lassehn, swoją ośmiodniową żonę, która chce wydać go policji jako dezertera! Ten „małżeński" wątek książki Reina, dopełniony drugą jeszcze erotyczną przygodą Lassehna, w której nocne bombardowanie miasta zaprawia akt miłosny jakąś zupełnie nihilistyczną perwersją, obnaża mało nam znane gąszcze obyczajowości życia niemieckiego w latach wojny — sprawy, w których najdosadniej może doszedł do głosu jakiś zaiste **owadzi** styl egzystencji narodu, od paru pokoleń uczącego się na pamięć strof... „Hermana i Doroty".



Niemcy powojenne: Zbieranie niedopałków

4. Lecz, mimo wszystko, nie Lassehn jest w powieści Reina postacią najbardziej pobudzającą zainteresowanie czytelnika, choć jego losy osobiste autor uczynił osią fabularną książki. Mocniejsza znacznie, pełniejsza i bogatsza w możliwości jest postać Fryderyka Wieganda, jednego z tych Niemców, którzy nie na tygodnie jak Lassehn, lecz na lata liczyli czas swej walki z hitleryzmem. Poznajemy go jako aktywnego sabotażystę w parowozowni kolejowej Karlhorst, „nielegalnego" od czterech lat zmieniającego raz po raz nazwiska, dokumenty i mieszkania, tropionego zaciekle przez gestapo. Poznajemy jego uroczą i równie jak on nieugiętą żonę, a także ich syna Roberta — oficera SS! Powiedzmy, że to brzmi trochę szokująco, ale nie dziwmy się za bardzo: Fryderyk Wiegand od roku 1933 z krótkimi przerwami wciąż siadywał po więzieniach i obozach, jego żona wiodła marginesowe życie cienia — i to cienia pod stałą obserwacją policji, „wychowaniem" Roberta zajmowały się kolejno: przymusowa Hitler-Jugend przymusowa „Arbeitsdienst" i wreszcie, bardziej już „ochotnicze", SS.

W tym układzie rodzinnej sytuacji Wiegandów jest materiał powieściowy wielkiej klasy i najprzedniejszego gatunku. Niestety, musimy mieć żal do Reina, że tę sprawę raczej tylko naszkicował. Jest w jego książce jedna drażniąca luka, którą trudno wybaczyć: w końcowych dniach bitwy o Berlin kiedy pod nieustannym ogniem artylerii i lotnictwa radzieckiego znajomi nasi wędrują z ruin do ruin, ze schronu do schronu, usiłując prześliznąć się na drugą stronę „frontu" — w przebiegu tych kilku dni czarna sylwetka Sturmbahnführera Wieganda parokrotnie przesuwa się w polu widzenia jego rodziców. Z napięciem oczekujemy dramatycznego „oko w oko" tej trójki, spotkania i rozmowy, która — czujemy to — mogłaby być punktem kulminacyjnym powieści. Do spotkania w istocie dochodzi, ale w takich okolicznościach, w których jest już raczej obojętne czy oficerem SS, usiłującym zatrzymać podejrzaną grupkę antyfaszystów, jest akurat Robert Wiegand czy ktokolwiek inny. Granat ręczny, celnie rzucony przez jednego z zagrożonej grupy, zabija Roberta w oczach obojga rodziców, zanim ta trójka mogła wymienić między sobą coś więcej ponad spojrzenia — i scena, która powinna była nam objawić jedną z największych **wewnętrznych** zbrodni hitleryzmu, zostaje w naszej pamięci jedynie jako epizod bez istotnego znaczenia.

A szkoda, bo skądinąd Heinz Rein jest pisarzem rozumiejącym rolę i znaczenie epizodu. Cała jego powieść zbudowana jest, nawet jeśli chodzi o losy głównych postaci — właśnie z epizodów, scen i scenek, zawiera nawet osobne duże rozdziały jakby na marginesie samego toku powieściowego. Tego rodzaju konstrukcja wynika dość naturalnie z tematu. Życie mieszkańców Berlina w drugiej połowie kwietnia 1945 istotnie było już tylko grą epizodów i fragmentów, nie powiązanych żadnym rytmem, żadną logiką — prócz bezlitosnej logiki dokonywającej się katastrofy. Obraz tej katastrofy znaliśmy dotąd „jednostronnie", z relacji radzieckich i polskich uczestników „bitwy o Berlin", z relacji zwycięzców, egzekutorów historycznego wyroku. Z książki Reina obraz ten wyłania się „od wewnątrz", odbity w oczach i mózgach garstki ludzi, dla których katastrofa ich narodu była — wyzwoleniem: garstki niemieckich antyfaszystów, o których autor pisze, że czekali na to wyzwolenie „z bolesną tęsknotą, gdyż nie byli w stanie wyzwolić się własnymi siłami"...

I powiedzmy to sobie otwarcie: jak tamten pierwszy obraz — trzy lata temu — napełniał nas poczuciem ziszczającej się sprawiedliwości, moralnego tryumfu dobra nad złem, tak ten drugi, z „Finale Berlin", nie wywołuje jakoś naszego współczucia. Kto wie, czy to nie największe może przestępstwo hitleryzmu, że nie jesteśmy w stanie współczucia tego w sobie wzbudzić: największe przestępstwo w stosunku zarówno do Niemców jak i — do nas wszystkich...

5. Ale, jak już wzmiankowałem, ani wątki fabuły, ani gra dramatycznych epizodów, ani nawet samo piekielne widowisko walącego się Berlina nie są jeszcze tym, czego w książce Reina szukamy z największą uwagą. Napięcie tej uwagi wzrasta wszędzie tam, gdzie autor nie tylko zaspokaja naszą ciekawość realiów historycznego zdarzenia, ale gdzie usiłuje ponadto dawać odpowiedzi na pewne głębiej niepokojące nas pytania. Kim są Niemcy? Jak to się działo, że mogli być tacy, jakich znaliśmy przez pięć i pół lat wojny i okupacji? Jak oni, jako zbiorowość, jako społeczeństwo, wyglądali u siebie „w domu", jak się czuli i jak się zachowywali sami między sobą, kiedy nie patrzyły na nich **nasze** oczy?

Na wszystkie tego rodzaju pytania powieść Reina przynosi niewątpliwie szereg odpowiedzi. Nie tyle może bezpośrednio, w formie gotowych autorskich analiz i komentarzy, ile głównie w postaci mnóstwa materiału „faktycznego", w ten sposób podanego, że wnioski cisną się i tłoczą same.

Oto np. piewsza z brzegu scena uliczna, z dnia 21 kwietnia. Z bramy domu wyciągnięto dezertera. Trzej SS-mani rozglądają się, szukając nieuszkodzonej jeszcze latarni, która mogłaby zastąpić szubienicę. Grupa przechodniów obserwuje w milczeniu ich zabiegi. Ale w tłumie zjawia się nagle matka delikwenta. Chce wybłagać litość dla syna, wytłumaczyć go, uniewinnić, a przynajmniej towarzyszyć mu do końca. Jeden z oprawców wcale nie ukrywając tego co stanie się za chwilę, odpędza starą kobietę, każe jej wracać natychmiast do domu. I ta niemiecka matka po prostu odchodzi, tłum przechodniów rozstępuje się przed nią, odprowadza ją wzrokiem do bramy, po czym spokojnie przygląda się wieszaniu dezertera na słupie przystanku tramwajowego.

Nie, to nie strach przed SS-manami sprawił, że ta nieszczęsna matka odeszła tak posłusznie, zamiast skoczyć zbirom do gardła; to nie strach przed SS-manami ani patriotyczne poczucie słuszności ich postępowania z dezerterem paraliżuje przygodnych widzów egzekucji. Oni wszyscy widzą co się dzieje, widzą absurdalność i zbrodniczość dalszej walki, słówko „Scheiss" jest najbardziej potocznym określeniem w ustach „normalnego" Niemca, kiedy mówi o tych sprawach. Nie, to działa w każdym z tych ludzi, w każdym z tych **Niemców**, lęk przed samym sobą, przed własnym ludzkim odruchem, przed możliwością zrobienia czegoś — źle czy dobrze — na własną rękę i własną odpowiedzialność. To działa ten sam strach przed możliwością własnej odwagi, który kiedyindziej sprawia np. że stary oficer policji miejskiej Kiepert bezradnie asystuje przy tym, jak jego szef, szczeniak z gestapo (którego zresztą nienawidzi), pastwi się nad uroczą, bezbronną Lucie Wiegand w jej własnym mieszkaniu — w okolicznościach, w których on, Kiepert, mógłby na dobrą sprawę zastrzelić oprawcę jak psa, bez żadnych dla siebie konsekwencji... W powieści Reina jest więcej takich scen, w których zupełnie już ślepy w obliczu ostatecznej klęski automatyzm działania hitlerowskiego aparatu władzy uderza na chybił trafił we własne społeczeństwo bez jakiejkolwiek bodaj próby z jego strony — przeciwstawiania się temu terrorowi szaleństwa. Pomijam tu działalność garstki konspiratorów, chodzi mi o postawę „człowieka z ulicy", zwykłych przechodniów, tłumu berlińskiego.

Prawda, jest wypadek konduktora tramwajowego Eckerta. Jedyny wypadek, kiedy „zwyczajny" berlinczyk porywa się czynnie na przedstawiciela władzy, zresztą akurat Bogu ducha winnego posterunkowego najmniej szkodliwej „Ordnungspolizei". Ale konduktor tramwajowy Eckert po prostu — oszalał. Przez dwie doby szukał trupów żony i córki w zbombardowanej, płonącej dzielnicy, dwaj posterunkowi znaleźli go tam w stanie graniczącym z obłędem i bardzo grzecznie wyprowadzili z dzielnicy grozy. Przy pożegnaniu jeden z nich zupełnie mechanicznie użył formułki „Heil Hitler" — i to zamroczyło już ostatecznie mózg nieszczęsnego tramwajarza: w ataku furii Eckert rzuca się na policjanta, powala go i zaczyna dusić. Kolega duszonego celnym strzałem w skroń szaleńca likwiduje ostatecznie ten niebywały wypadek.

Jest jakaś, niedostępna chyba dla nie-Niemca, ponura logika w tym mechanizmie pojęć, wedle którego tylko szaleniec zdolny jest do czynnego przeciwstawiania się terrorowi zorganizowanego szaleństwa, systemowi ślepej zbrodni — nawet jeśli ten system i ta organizacja rozpada się już pod ciosami sił wolnych narodów! Jest w tym coś, co znieważa nasze poczucie obowiązku walki ze złem bez względu na koszty — i coś, co głęboko zasmuca.

Nie, „finale" hitlerowskiego Berlina nie miało w sobie nic patetycznego. Z książki Reina wyłania się ocarta z wszystkich masek twarz narodu, zdolnego do wszystkich zbrodni oprócz jednej: prócz „zbrodni" buntu przeciw własnej naturze, zmagania się z samym sobą, walki z własnymi instynktami zła i z własnymi okropnymi cnotami.

Los garstki „sprawiedliwych", los komunisty Wieganda i jego kilku przyjaciół, wynurza się z piwnicznych mroków na światło dnia i przełamuje się jak chleb w uścisku ręki młodego żołnierza radzieckiego, którego Wiegand pozdrawia słowem: „towariszcz"... Takie jest zakończenie ostatniego rozdziału powieści Reina. Ale my, myśląc z szacunkiem o samotnym długoletnim męstwie i harcie duchowym Wiegandów, zamykamy „Finale Berlin" bez radosnego uczucia tryumfu. Jeśli ta książka wzbogaciła naszą i tak już ogromną, bolesną wiedzę o narodzie niemieckim, to wzbogaciła ją o rozdziały, pogłębiające jeszcze naszą troskę

Leon Kruczkowski

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

W SPRAWIE ŚMIETNIKA

Śledząc z pewnego oddalenia boje Zoilów i Antyzoilów myślałem niejednokrotnie: Co właściwie rozamiętnia przeciwników? W dyskusji literackiej nad zagadnieniem prozy artystycznej nie wysunięto bowiem ani celów wielkich, ani postulatów skrajnych na tyle, ażeby usprawiedliwione były podniesione głosy i urażone milczenia. Stanowisko obrony rozumiem. Zaatakowany pisarz broni swojego dzieła wszystkimi siłami, jakie posiada. Mając wszystko do stracenia, ma także prawo do namiętności. Rozumiem także zapalczywość krytyków, jeśli ich kryteria zostały zagrożone. Nie pojmuję natomiast ataku, którego nie legitymuje zamiar wielkiej reformy. A zamiaru tego nie dosłyszałem w żadnym z głosów dyskutujących.

Mam prawo, każdy czytelnik prawo to posiada, zżymać się na odkrycia Ameryki. Mam prawo nie doszukiwać się małego sensu literackich nieporozumień. Bo żadnego przecież znaczenia dla przyszłości prozy polskiej nie posiadają zdania Kotta o Brandysie, Brandysa o Hertzu, Hertza o czymkolwiek, a Wata o samym sobie.

Jerzy Borejsza w batalii o prozę dostrzegł trzy stanowiska: formalistów, wulgarnych socjologów i marksistów. Wydaje mi się, że właśnie marksiści, wbrew temu, czego należało by się spodziewać, w dyskusjach literackich są najmniej aktywni. Poza pracami Ważyka i przekładanego Lukacsa, nie dostrzegam udziału marksistów w wytyczaniu szczegółowych, konkretnych dróg literatury. Publikacje przynoszą wiele cennych uwag, spostrzeżeń, projektów i postulatów. Są to jednak projekty i postulaty na wyrost. Ich rozmiar, ich za-obszerność uniemożliwiają zastosowanie. Już same publicystyczne cele tych wypowiedzi są innego, większego rzędu, planują ogólny kształt polityki kulturalnej. Bezsprzecznie, realizacja takich postulatów jak rozpowszechnienie kultury, wciągnięcie wielkich mas społecznych do jej współtworzenia, nie mogą pozostać bez wpływu na obraz literatury, na kształt polskiej prozy. Lecz o to przecież chodzi, aby literatura nie tylko miała udział w przyszłym owocobraniu, ale już dzisiaj pracowała na urodzaj. A w dalszym ciągu brak jest programu gwałtownej reformy, która by przyśpieszyła kiełkowanie i wzrost nowych, potrzebnych gatunków i odmian literatury.

Na to zgadzają się wszyscy: dokonane przeobrażenia społeczne, ideowe, ekonomiczne nie mogą pozostać bez śladu w stającej się współcześnie literaturze. Naród przeżywający swoje wielkie dni czeka na kronikę swego wysiłku, swego bohaterstwa, na słowo o swojej nadziei. Literatura, a powieść głównie, bo o niej się myśli przede wszystkim, musi zrzucić z siebie kanony i rygory krępujące jej rozmach, jej swobodę wzrostu.

Postulaty te zostały wypowiedziane językiem bardziej lub mniej jasnym, tak przez Zoilów jak i przez ich przeciwników. Zdawało by się: o dużo chodzi, o wszystko prawie. Zdawało by się: namiętności zostały słusznie ulokowane. Kiedy tutaj właśnie zaczęło się i skończyło zagadnienie. Zamiast zasadniczego sporu zaistniała zasadnicza zgoda. Trwa natomiast spór o szczegóły. Wlecze się dyskusja nad wartością dotychczasowych trzechletnich dokonań nad tym, czy wróżą one dalszy rozwój, czy też dalszy zastój. Niekiedy i nie rzadko, chodzi po prostu o cień cienia, o jakość prozy X lub o perspektywy Y.

Borejsza za włosy ciągnie problematykę, aby ją podwyższyć. Z grobu nawet wywołuje przeciwników i na ubitej ziemi rozprawia się z duchami. Bo dziś nawet o sprawy formalne mało komu chodzi. W literaturze współczesnej jeśli uczyniono co, to właśnie uleczono ją z formalistycznych kompleksów. Analiza krytyków wykazała wszemwobec, że ów biały niewinny baranek jest czarną owcą, która znów nie owcą jest a trojańskim koniem. Cytowane przez Borejszę zdanie Parandowskiego dziś, kiedy którąś to już rocznicę „Walki o treść" będziemy obchodzić, jest przykładem zacofania nie tylko w stosunku do „naszego czasu", ale także w stosunku do naszego ćwierćwiecza. Jeśli nie sprzymierzam się z oburzeniem Borejszy na Wata za miejsce, jakie ów dla ideologii wyznacza, to dlatego że wbrew wszelkim tendencjom izolatorskim żadna literatura nie da się od ideologii oderwać. „Ideologia na śmietniku?" To cóż z tego? Czyżby literatura na śmietnik trafić nie umiała? Czyżby to dla niej była pierwszyzna? Za ideologią, która jest jej treścią i sensem istnienia poszłaby nawet na koniec świata. A cóż dopiero na śmietnik i to niedaleki. Znajdzie tam z pewnością lepsze warunki rozwoju niż w rygorach, którymi się ją opancerza. Z pewnością lepsze niż w śmiesznych komórkach, w których ją Wat rozmieszcza. A poza tym ze śmietnika dużo bliżej pod strzechę niż skądinąd.

Właśnie strach przed śmietnikiem wydał mi się najsilniejszym bodźcem dzisiejszej literatury. Tej naszej. Inne literatury nie odczuwają go jakoś. Przeciwnie. Literatura amerykańska, pisałem już o tym kilka razy, po prostu lęgnie się na śmietniku. Przypadkowość, niewyszukanie, bylejakość kompozycyjna, bezpośredniość stylistyczna oto formalne cechy, po których rozpoznajemy miejsce jej narodzin. Lecz nie forma stanowi wielkość tej literatury. Wolność — z Białego Domu, z instytucji państwowych, z prasy i opinii oficjalnej wyrzucona na śmietnik — została tam przez amerykańskich pisarzy odszukana i w widoczny całemu światu kształt obleczona.

Śmietnik stał się bardzo ponętnym miejscem pobytu także dla literatury francuskiej. We Francji powstaje właśnie śmietnik konwencjonalny. Obserwujemy tam zjawisko przypominające wiek osiemnasty. Nie ten od Encyklopedystów i racjonalizmu, ale ten od tęsknot pseudoklasycznych, od poprzebieranych pastuchów i krowiarek. We Francji dzisiejszej sprawy dostojne nawet, wyszukane myślenia i wykwintne czucia poddaje się sztucznemu fermentowi. Przez zastosowanie antyintelektualnej techniki powieściowej rozkładowi ulegają te wszystkie rygory, które dotychczas wyznaczały kształt francuskiej prozy. Tej „klarownej", „jasnej" i dobrze zbudowanej. Nieład kompozycyjny, językowy, stylistyczny ma stworzyć pozory spontaniczności, bezpośredniości i żywiołowości także. Powstają powieści i opowiadania świadomie zamierzone niechlujnie i w sposób niechlujny wykonane. Śmietnik francuski tylko kształtem przypomina śmietnik amerykański. Francuski nieład jest jeszcze jedną, najmłodszą konwencją.

Nasz śmietnik, gdybyśmy się nie obawiali go ujrzeć i wyzyskać, byłby z pewnością odmienny i od amerykańskiego i od tego, który sobie Francuzi wymyślili. U nas wielkie sprawy, wielkie idee jeśli leżą na śmietniku, to dlatego, że nie było dość czasu, że nie stało rąk na uprzątnięcie i umieszczenie ich w miejscu suchym, widnym i wietrznym. Każdy z nas, każde dziecko nawet, zna niezałatwione i czekające na swoją kolej „rzeczy". Nasz śmietnik przypomina już dziś raczej magazyn w stadium organizowania i selekcji. Dach założono i towar zabezpieczono przed gniciem. Na gwałt trzeba ludzi wszystkich ludzi, ale nie tylko urzędników, tragarzy i komiwojażerów. Pisarzy też trzeba. Bo nieład jest. Tak samo rzeczowy, formalny jak i ideologiczny.

Dlaczego literatura nasza tak bardzo się boi śmietnika, trudno zrozumieć. Jest to przecież doskonała dla niej sposobność do odnowienia się. Gdyby nie istniał ten naturalny teren organizowania i doświadczeń, należało by go nawet wzorem Francuzów wymyślić. Ale jest. Przez to samo odpada już potrzeba i niebezpieczeństwo formalizmu. Są troski, nadzieje, ambicje, konflikty, które same zmuszą twórcę do znalezienia odpowiedniej dyscypliny i formy. Powieść nasza posiada dziś takie warunki, jakich może nigdy nie miała powieść amerykańska. Ma ostrość, wielość i wielkość spraw do wyrażenia podobnie jak powieść za Oceanem. Posiada jednak również wyraźnie wytknięte cele i wytyczoną drogę, czego Amerykanie nie mają. Być może, świadomość ostatecznego zwycięstwa odbiera naszej literaturze poczucie ryzyka, niepewności, co nie jest bez znaczenia na powstawanie odporności i siły do walki ze stronami świata. Świadomość ta jednak może znów ustrzec ją przed niejedną kosztowną omyłką.

A u nas tymczasem strach przed śmietnikiem jest najsilniejszym bodźcem literatury. Zamordowany przez naszych krytyków formalizm straszy w którejś tam kondygnacji. Pisarz ogląda się ze strachem wokół i każdy szelest go przeraża. A nuż spoza tej czy tamtej sprawy formalizm się wyłoni. Uwaga. Widmowość formalizmu jest nową odmianą tych zlikwidowanych kompleksów. Mimo że go nie ma, formalizm żyje. W obawie zwycięzców, że powróci. I ci, którzy najgłośniej o niebycie formalizmu rozgłaszają, są pod jego przemożnym wpływem. Są także formalistami. Bo formalizm niekoniecznie musi posiadać postać eksperymentu. Może również wyrażać się w trwożnym uszanowaniu dla form zastanych, dla konwencji odziedziczonych, dla tych wszystkich rygorów nieżywych, których duchy nawet się rozwiały. I u nas właśnie ten formalizm święci tryumfy, tak w poezji jak i w prozie. Bo przecież formaliści właśnie strzegą świętej nienaruszalności poetyckiej strofy, wzywają do tzw. klasycyzmu, do szacunku dla przyzwyczajeń ludzkiego ucha, oka, serca, mówiąc zwięźle: do wyrozumiałości dla lenistwa. Według takich recept wykonane poezje są jak grzeczne dzieci. Nawet nie zadziwiają. O ile bardziej wolę takiego Bratnego, z którego śmiać mi się chce przynajmniej, gdy czytam. W prozie, przecież to formalizm ujawnia się w kulcie „rzemiosła pisarskiego".

Rzemiosło — zapewne jest w tym nazwaniu, urzędującym dziś w literaturze, duży ładunek emocji. Jest w nim uszanowanie pracy ludzkiego wysiłku. Artysta, który sztukę swoją nazywa rzemiosłem, zstępuje z wyżyn tzw. posłannictwa, rezygnuje z szamaństwa, wchodzi w tłum ludzi pracy. „Jestem z wami" — mówi. — „Wy kilofem, igłą i dłutem pracujecie, a ja wysilam się piórem". — Zapewne. Lecz czyż nowoczesność naszej literatury, jej związek z chwilą, z tendencjami obecnymi ma się wyrazić jedynie w terminologii. Przecież owo „rzemiosło pisarskie" jest jeszcze jednym imieniem wieży z kości słoniowej.

Dzisiejszy rzemieślnik literatury, podobnie jak wczorajszy sługa sztuki, jak przedwczorajszy szaman, tworzy w zaciszu konwencji. Na świątyni wyryty został jedynie napis „warsztat". Dokonano także pewnej przebudowy. Wyrzucono witraże hamujące potok żywego światła. Poszerzono okna także, wybielono ściany, założono wentylatory, wybito kilka nowych drzwi dla łatwiejszej cyrkulacji.

Dziś do warsztatu literatury mają dostęp już te sprawy, dla których wrota świątyni sztuki były zamknięte. Dziś nikt z pisarzy nie wyrzuci ze swego warsztatu wciskających się drzwiami i oknami trosk i konfliktów społeczno-politycznych. Sprawy polityki otrzymały wreszcie prawo równouprawnienia ze sprawami metafizyki. To jest wiele. Ale to jest niewiele także.

Do literatury bowiem wprowadzona została zaledwie gotowa problematyka polityczna. Pisarz stał się w tym najlepszym wypadku publicystą. Twórczością swoją ilustruje rozstrzygnięte już konflikty. Popularyzuje sprawy wiadome, miast nowe z mroku wywoływać. Pisarz nie przeobraził się w polityka. A to przecież jest jego zadaniem. Ma on — i tylko tak rozumiem upolitycznienie literatury — nie z półfabrykatów, choćby były one w najlepszym gatunku — dzieło literackie komponować, ale surowiec przerabiać. Ma żywe ludzkie sprawy, te sprawy, które nabrzmiały bólem, troską, nadziejami społeczeństwa — wzruszać, kształtować, nazywać. Literatura może przecież stać się czynnikiem politycznym, czynnikiem, który współtworzy nowe życie Polski. Picasso bardzo mądrze odpowiedział na postawione mu przez Borejszę pytanie. — „Jak to ja nie robię polityki! — Maurice (Thorez) robi politykę w parlamencie a ja na swoich płótnach".

I nie tylko Picasso postępuje tak, ale każdy artysta, jeśli tylko nie chce zapóźnić się, jeśli nie chce wypaść poza obręb swego czasu. Bo „skóra świata jest odarta i każde dotknięcie trafia w żywe ciało". Nie śmieszy mnie bynajmniej współzawodnictwo Picassa z Thorezem. Kto z nich jest lepszym politykiem? Można mieć wątpliwości, jak na to pytanie odpowiedzieć. Nie było by w tym nic śmiesznego, gdyby wątpliwości miał Borejsza również.

Nie o to jednak chodzi, aby stopniować walory polityczne. Na cenzurkę naszą, na niczyją, nie czeka ani Thorez, ani Picasso. Ważne jest co innego. To mianowicie, że obaj mają świadomość współtworzenia. Jest to — można już bez wątpliwości stwierdzić — współpraca wielkich polityków.

Minimalistyczny jest dla mnie taki program kulturalny, w którym pisarzowi wyznacza się rolę publicysty. Rolę głośnika gotowych sformułowań. Funkcją pisarza właśnie w Polsce, gdzie tyle jest spraw nabrzmiałych, musi być współzawodnictwo z politykami. O to chodzi właśnie, ażeby jakiś prozaik postawił kiedyś Borejszy pytanie „Kto jest lepszym politykiem, ja czy Gomułka?" I o to także, ażeby Borejsza miał wątpliwość, jak mu odpowiedzieć. Kiedy pisarz z takim pytaniem wystąpi, wówczas będziemy pewni, że literatura polska znajduje się na drodze ku swojej wielkiej przyszłości. Kiedy Borejsza zdobędzie się na wątpliwość, będzie to oznaczało, że politycy uznają wielkie, równe ich własnej aktywności znaczenie literatury w kształtowaniu życia narodu.

Chociaż przemiany winny zachodzić dwustronnie, to jednak zrozumiała jest wstrzemięźliwość polityków, którzy od pisarza oczekują pierwszych kroków. Od pisarza przecież przede wszystkim zależy to, ażeby się stał politykiem. Tamtych, Borejszę także, fakty dokonane zmuszą do owej wątpliwości.

Przed polską literaturą współczesną stoi otworem, co tu dużo mówić, wielka przyszłość. Przemiany społeczno-ustrojowe stworzyły takie warunki, jakich ona nigdy nie miała. Możemy sobie pozwolić na wielkie słowa: naród czeka na jej udział jako czynnika politycznego w rozstrzyganiu konfliktów w uwyraźnianiu żywych wartości moralnych, w usuwaniu przesądów i śmieci czasu niewoli i zakłamania. Literaturę tę jednak czeka także trud przezwyciężenia olbrzymich przeszkód, które się piętrzą. Stare strachy trzeba usunąć, nowe ambicje wywołać. Ale przecież od wysiłku pisarzy zależy to, co zawsze od nich zależało: wymiar literatury. Zależy jednak również od nich trwałość dokonanych przeobrażeń. Bo tego, co raz wejdzie do kultury, sam diabeł nawet nie wyjmie.

Do roboty zatem i najlepszej! Do poematów, powieści, essayów i opowiadań! — Ejże, utwory te i bez zachęty niczyjej będą powstawały. Warsztat literatury funkcjonuje przecież i rzemiosło pisarskie może się nie byle jakimi produktami pochwalić. Lecz dziś właśnie inną robotę trzeba wykonać. I w warunkach trudniejszych niż te, które stwarzane są przez klimaty kapryśne, terenowe nierówności, lub ciemności kopalniane. Dziś literaturę czeka praca na śmietniku, który chociaż jest dachem przykryty, to mimo to jest jeszcze śmietnikiem nieuregulowanych spraw, trosk dużych, bólów ciężkich, ambicji niewyjawionych. Rzemieślnik literatury musi zejść z jeszcze jednego szczebla hierarchii społecznej. Czeka go dola i niedola robotnika. I niewykwalifikowanego w dodatku.

Te wszystkie narzędzia porozwieszane w literackim warsztacie, na śmietniku mieć będą niewielkie zastosowanie. Subtelności stylistyczne, strofy katastroficzne, te wszystkie rekwizyty z takim pietyzmem przechowywane przez formalistów, tu do mało czego się przydadzą. Tu — głowa nieprzewrócona, serce miękkie i pióro w garści muszą wystarczyć. Inwalidzi, schorowani i maniacy niech już tam w domu zostaną.

Na śmietniku treści aż za dużo. Forma? Ona się sama wyłoni. Gorsza, lepsza, brzydka, ładna, tak jak gdyby kto miał czas o formę się troszczyć. O nią niech się formaliści martwią. Oni i tak przyjdą, także socjologów, tych wulgarnych, zaproszą. Radzić będą, a poniewierać. Lecz ani złego, ani dobrego wiele nie uczynią. Dzieło, które dało sobie radę z surowcem życia, da sobie samo radę z opinią, krytyką...

A tymczasem „biedna intelektualna proza polska" — wzdycha Kazimierz Brandys. Trochę to wzdycha on z ironią, ale wolno mi jej nie zauważać.

Właśnie. Biedna i intelektualna. Są prozy o wiele bardziej intelektualne, ale tamte jeśli biedne są, to przynajmniej z innego powodu. A intelektualizm naszej prozy jest z bardzo mizernej familii. Z przyzwyczajenia, z własnego o sobie mniemania. Tak jak w tym dowcipie o jednym, który był hrabią — z przekonania. Niewiele można znaleźć przykładów rzetelnego intelektualizmu w naszej współczesnej literaturze. Nie myślę o przeintelektualizowaniu, ale o świadomym zastosowaniu konwencji. Z poczuciem ich braków i słabości. Taką prozę Sandauera np. tak bardzo w najlepszym znaczeniu słowa intelektualną, „suchą", bez tzw. rumieńców bezpośredniości, można zestawić z emocjonalną, „soczystą" prozą Żukrowskiego. Z potrzeby powołania się na żywy przykład, a nie z żadnego innego powodu, wymieniam tych dwóch wyraźnie przeciwnych sobie pisarzy, którzy jednak w konwencjach umieją się poruszać. Są świadomi ich uroków i ich niebezpieczeństw. Ci z pewnością (mimo to że o Sandauerze urobiono odmienną opinię) formalistami nie są. Ci z doświadczeń pisarzy starszego pokolenia, z pokolenia Nałkowskiej, Dąbrowskiej, Iwaszkiewicza, wyjęli nie hamulce ale swobodę. Bo w większości wypadków luki myśli i kompozycji zapełnia się wtórnym intelektualizmem, takim z przyzwyczajenia do rygorów, i wtórną emocją, której jedyną legitymacją jest „mowa wzruszona".

Nie jest moim zamiarem zachęcać kogokolwiek do czegokolwiek. Wedle stawu grobla. A zresztą są krytycy i nie najgorsi. Niechże już oni radzą. Ja pozwalam sobie jedynie wskazać palcem na śmietnik jako na miejsce niesłusznie otoczone wzgardą. Wydaje mi się, że pobyt na śmietniku nikomu nie zaszkodzi.

Jak rzekłem, przemiany winny dokonywać się dwustronnie. Tymczasem, nim pisarz zrezygnuje z godności rzemieślnika i warsztat opuści, nim zacznie surowiec życia swym piórem obrabiać, nim politykiem więc się stanie — dzisiejsi politycy kultury, którzy nie mieli jeszcze sposobności do wątpienia, mogą im pomóc. A pomóc można przez wytypowywanie zjawisk, które tendencje odnowy wyrażają.

Typuje się u nas już niektóre książki, nawet z wielkim hałasem się to czyni. Na tę wskazuje się, że wybitna, na tamtą także. Lecz niech mi wolno będzie zauważyć, że wśród wskazanych wydarzeń literackich niewiele jest takich, w których objawia się wielka odwaga — odwaga grzebania w śmietniku.

A tymczasem znaleźli się już tacy, którzy porzucili warsztaty pisarskie i grzebią w śmietniku. Być może nigdy tych warsztatów nie mieli i od razu zaczęli od śmietnika, nie umniejsza to jednak ich odwagi. Nie chwalę ich dzieł, którym daleko do doskonałości. Niech już tam dzieła same swą sławę lub niesławę głoszą. Jednak warte są wskazania palcem tendencje uwyraźnione w twórczości Dobraczyńskiego. Jest tam właśnie niechlujstwo i nieład (formalny, treściowy i każdy), jest to, czego się współczesna literatura polska panicznie boi.

Gdy jego koledzy uprawiają rzemiosło literackie składając do kupy półfabrykaty, Dobraczyński brudny, ubabrany pora się jak umie z surowcem spraw żywych. W książkach jego jest wszystko: zły smak, nieporadności stylistyczne, sentymentalizm, nieumiejętności zachowania proporcji. Ale wszystko to w kupie jest żywe, gwałtowne, pobudzające.

Między rzemieślnikiem literatury a robotnikiem—Dobraczyńskim jest przepaść formalna (na korzyść tamtych) i treściowa (tu znów jego przewaga). Kawał literatury, który zdołał nam dać, jest ciepły jeszcze i drga od życia weń wtłoczonego. A to jest, sądzę, więcej niż wszystko tamto. To nie jest papierowe. To jest materiał, na którym można uprawiać politykę. I Dobraczyński to polityk właśnie.

Pewnie, ktoś powie, złym politykiem być nie sztuka. Sztuka czy nie sztuka, ale lepiej być dziś politykiem złym niż nie być politykiem wcale. Dziś najważniejszą sprawą literatury jest dobić się do tej żyły, gdzie żywe sprawy leżą. Dobraczyński dobił się po swojemu. Szuka, myli się, gubi, znów szuka, czy znajdzie. Bóg go tam, ten jego Pan Bóg katolicki, raczy wiedzieć. Może znajdzie.

Trudno namawiać kogokolwiek do naśladowania metody pisarskiej Dobraczyńskiego. Sądzę, że nie ma tam jeszcze miejsca na nauki i przykłady. Ale można, nawet trzeba wskazać palcem na autora kilku najgrubszych współczesnych powieści, choćby dla śmiechu, ale i dla rozwagi, jak się uwija na śmietniku. Może inni przyjdą, zaciekawią się, trochę się pośmieją z umorusańca, i potem powoli ukradkiem zaczną grzebać obok niego. Wydaje mi się, nie chcę przedwcześnie „dzwonić w sztandary", ale wydaje mi się, że ambicje młodej prozy polskiej, tej najmłodszej, skierowane są w tym samym kierunku co wysiłki Dobraczyńskiego. Wśród nienajmłodszych również coś już dziać się zaczyna. Andrzejewski (nie twierdzę, że zarażony przez kogokolwiek, stać go przecież na bardzo wiele własnych zapałów) do śmietnika się dobiera. Sandauer, słuchy mnie doszły, także. Każdy inaczej, oczywiście. Autorowi „Popiołu i diamentu" robota pójdzie sprawniej, ma on narzędzia bardziej odpowiednie. Sandauer gotów się zająć wyszukiwaniem i sortowaniem jakichś bardziej precyzyjnych przedmiotów. Nie szkodzi. Każda metoda obrabiania surowca może mieć swoje zastosowanie. Więc...

A zresztą wszystko i tak się jakoś samo ułoży. Trudno uwierzyć bowiem, aby polski pisarz współczesny nie znudził się pracą przy obrabiarce warsztatowej, gdy tuż za oknami rosną wielkie sprawy. Trudno uwierzyć, by prędzej czy później nie zniechęcił się do półfabrykatów i nie zatęsknił za surowcem. Chociażby po to, ażeby spłatać figla Borejszy przez postawienie mu pytania, na które tamten nie będzie umiał od razu odpowiedzieć.

Zbigniew Bieńkowski

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

Z cyklu: Siedmiogrodzkie Cekiny

NIEMCY ZABILI...

Na ulicy Klużu koło szpitala
Niemcy zabili młodego Moskala.
Leży rozkrzyżowany we krwi,
zamknięte ma oczy, ściągnięte brwi.
Stawali towarzysze nie na długo:
„Nie czas nam się bawić grobową posługą.
Bywaj zdrów, Sasza, druhu".
Przyszły matki-płaczki z pobliskich ulic,
ubrały go w czyste spodnie, białą koszulę...
„Może mój Isztwan gdzieś w polu tak"...
... „Może Juli czy Wiiu mój w boju padł?".
„Syneczku nieżywy, niech cię otulę".
I tak, ziemią otulony obcą,
spoczął jeden z nieletnich sowieckich chłopców,
bez krzyża, pod spiczastym maleńkim kopcem;
i mają mu mogiłkę lilią i różą
siedmiogrodzkie matki w rumuńskim Klużu.

SOWIECKI POGRZEB

Nieśli go nieżywego we czterech
w długim pudle z czerwonego papieru:
pod skrwawionym bandażem — martwa twarz chłopięca,
ordery na piersi, kwiaty w sinej ręce.
Młode twarze — skamieniałe, pobladłe
za tą trumną niesioną na dwóch prześcieradłach.
Jeden dźwigał wieniec z astrów tak jak potrafił,
drugi broń, trzeci czapkę, czwarty — fotografię.
Szli jeden za drugim z wiankami w szarfach.
a wiatr im jasne włosy głaskał i szarpał.

EWA FISZER

MOJE MIASTO

Przez pierwszą noc powstania
Myśleliśmy cały czas przy pracy
Kto z powrotem ułoży płyty
Aby mogli iść ludzie do pracy.

Latarnie o ziemię oparte
A balkon o głowy ludzi
Prosto w otwarte płuca
Pada czerwony pył z cegieł.
Gruźlicę
leczą
Żywicą
sosny
Odległe jak niebo

A blisko
Powieszony za włosy księżyc
Na tym samym balkonie na Woli,
blisko płyta, przy której stoi
Słup pokrętny, warta:
Post przy ghetcie.

W gruzach grzebią ludzie gdzieniegdzie
Jak kiedyś dzieci w piasku.
Srebrna łyżeczka. Kluczyk. Świecznik —
I kości zasypane

*

Myślałam wtedy: nie będzie domu.
Uczyli: człowiek drugiemu nie da.
Przełamał się ze mną chlebem
Przełamie się ze mną wierszem
Ten sam co zawsze człowiek: kolega.

Dwadzieścia kobiet w roboczej kolumnie
Podało ręce mojemu miastu
Dwudziestu chłopców wyszło z lasu
Aby wyrwy w bruku wyrównać.

MIECZYSŁAW JASTRUN

Xiężniczka Izraelska*) (II)

W jednej z nawiedzających go często godzin zwątpienia napisał Słowacki zgryźliwy wierszyk:

> Panna Dejbelka — osoba nie [wielka!
> Ta chodzi i zwódzi —
> bez węża — gdy Pan Bóg spu- [ści męża.

Tego męża miał Pan Bóg spuścić dopiero wiele lat później; Xawera Deybel wyszła za Francuza, Edmunda Mainard. Słowacki ujrzał ją raz na zebraniu Koła. Była cała w płomieniach i w gniewie, protestując przeciw czemuś, z czego niezupełnie zdawał sobie sprawę. Z początku szedł za biegiem jej myśli, ale wnet zaczęła opanowywać go i wciągać go w głąb, zachłanna jak muzyka, wyobraźnia. Jego wrażliwość na blaski i słowa była tak wielka, że mimo usilnej pracy nad sobą, nad zubożeniem tej pochłaniającej wszystko fantazji, nie mógł zapanować nad sobą również w tej chwili, nie mógł śledzić toku wywodów braci i gwałtownych oskarżeń siostry Xawery. Siedział wychudły i blady — kości i duch — jako echo wróciła we wspomnieniu Mickiewicza ta przenośnia, którą wypowiedział kiedyś w odniesieniu do Klaudii Potockiej, gdy już choroba wykopała głębokie ślady w jej pięknej twarzy. Brat Słowacki, poeta, którego licznych poematów i tragedii nie czytano.

Teraz patrzał na Xawerę, piękną w tym uniesieniu, które oczom jej nadawało blask. Jej ruchy wyrażać miały jakąś prawdę, której broniła, ale w wyższym jeszcze stopniu zwiększały powab jej kobiecy.

Zachował obraz jej w pamięci i kiedy pisał „Księdza Marka“ zapożyczył coś niecoś z tego wspomnienia, przetwarzając Xawerę w piękną i mściwą Judytę. Portret Judyty okrył blaskami wiersza, zapożyczonego z Calderona, zbyt rozlewnego, by wyrazić ściśle kształt, który miał w pamięci, lecz w nieokreśloności swojej mającego coś z tej płynnej materii, która wypełnia wspomnienie.

> *Na twe czoło wykąpane*
> *W ptasim gołębicy mleku,*
> *Na twoje usta różane*
> *Których łuk napięty drży...*
> *Na twe oczy, z których bije*
> *Razem żar i noc i dzień,*
> *Na twoją łabędzią szyję*
> *I na ten błękitny cień*
> *Twoich rzęsów, który spada*
> *Aż na rubin twoich lic!...*

Ponosiła go zawrotna płynność wiersza, opis zmieniał się w popis wersyfikacyjny, erotyzm niewyżyty, jak w wyobraźni chłopców, którzy nie zaznali jeszcze miłości cielesnej, zdradzał się w tych przesadnych i zbyt uroczych obrazach. Ale gdy poeta mówił o duchowej sile Judyty, gdy stylizował ją na wzór potężnego baroku, w którym porównania biblijne idą w parze z instrumentalizacją przyśpieszonego wiersza, osiągał wrażenie wielkie.

Twarze wielu kobiet, widzianych w różnych czasach, zasłoniły mu twarz Xawery. Judyta nie była do żadnej z nich podobna, gdy pisał ten psalm o Mścicielce.

> *Jest jak noc cała w płomieniu,*
> *Jest jak burza, cała w mocy,*
> *Jest jak siła, cała w ciszy,*
> *Jest jak głaz w Dawida procy,*
> *Jest jak płacz, który Bóg słyszy,*
> *Jest jak grad, co bije w twarze,*
> *Jest jak strach, co serca napełnia,*
> *Jest jak miecz, którym Bóg karze,*
> *Jest jak sąd, który Bóg spełnia.*

W raptularzu z dnia 30 kwietnia na 1 maja 1844 roku zanotował: „Śniło mi się, że jakaś autorka Marachta (duch indyjski) deklamowała „Księdza Marka“ — i „Księcia Niezłomnego“, mówiąc, że cudowna poezja. Nade dniem zaś Mickiewicz to samo powtórzył o „Marku“.

*

„Porzuciliśmy dawne mieszkanie, przenieśliśmy się za miasto na Batignolles 12 rue du Boulevard — pisze pani Celina w liście do siostry swojej Heleny dnia 12 lipca 1845 roku. — „Jaś zdrów i śliczny, już ma trzy miesiące, urodził się 7 kwietnia, karmię go i nie mam z nim biedy...“ „Adam od dwóch miesięcy w Szwajcarii, za parę dni wraca“.

Ona sama miała pojechać w rok później do Mistrza Andrzeja. Pielgrzymka jej zdecydowana została nagle, lecz na wyjazd pani Celiny złożyły się przyczyny liczne, złożone, których tu nie podobna w całej jasności wyłożyć, gubią się bowiem w gęstym mroku niedopowiedzianych zdań, domysłów nie do sprawdzenia, i jak wszystkie sprawy naszego życia wewnętrznego w jego najgłębiej leżących pokładach, dokąd światło dzienne rzadko dochodzi, wstydliwych. Pani Celina w sporze męża z Mistrzem Andrzejem, w sporze, którego nie rozumiała w pełni, stała po stronie Mistrza. Kierowała się w tym wyborze wyłącznie uczuciem, porywem ciemnym i nieuświadomionym, któremu wierzyła, który brała za podszept duchów. Mistrzowi zawdzięczała uzdrowienie. Wierzyła w ten cud wiarą niezachwianą niczym, z prostotą chłopki. Uważała za swój obowiązek posłuszeństwo bezwzględne wobec Mistrza, wielbiła jego siłę, stanowczość, potęgę myśli. Czuła się zawsze w jego obecności słaba, nic nie znacząca, wzrok jego rozkazodawczy pozbawiał ją własnej woli, nie umiała mu się nigdy sprzeciwić, nawet wtedy gdy coś szeptało jej do ucha, że Mistrz jest w błędzie. W błędzie! Nie! On nie mylił się nigdy. Podszept złego ducha odpędzić można modlitwą. Trzeba tylko paść na kolana i wzbudzić w sobie ów pęd górny, o którym tyle mówiono w Kole, którego brak był nieszczęściem, upadkiem, ostateczną nędzą.

Mąż oddalał się od niej coraz bardziej. Pod jednym dachem z nimi mieszkała Xawera. Xawera lepiej rozumiała jej męża. Towiański nauczał, że nie masz w małżeństwie innych więzów prócz więzów porozumienia dusz kochających. Celina starała się w ciągu tych wielu trudnych lat wzbudzić w sobie miłość do Obcej. Robiła największe ofiary, dochodziła do zupełnej rezygnacji z własnej dumy, z własnej miłości, z rozpaczy nawet. Wiedziała, że nie wolno jej rozpaczać. Usprawiedliwiała Adama we własnych oczach. Milczała całymi tygodniami, nie chcąc powiedzieć słowa, które mogłoby go zranić. Na próżno. Nie mogła w sobie wzbudzić miłości do Xawery. Gorzej, czuła, jak narasta w niej samej niechęć do męża.

W jakiś dzień, kiedy ujrzała na twarzy Xawery wyraz szczęścia — czuła to — najzupełniej ziemskiego, załamała się, krzyknęła nie panując więcej nad myślami swoimi:

— Nie mogę dłużej. Jedź, jedź do Nanterre, jedź do Richterswil, jedź do Einsiedeln, do Panny Najświętszej, nie wiem, wracaj do Wilna, dokądkolwiek.

A po chwili oprzytomniawszy zupełnie, jakby zbudzona własnym krzykiem, powiedziała cicho i spokojnie:

— Bo widzisz, wy o mnie zapomnieliście, nie wiecie, jak ja się męczę.

Pani Celina wyjechała 12-go września i już 14-go przybyła do Einsiedeln. Z pokorą i zachwytem w duszy klęczała przed obrazem Panny Einsiedelskiej. Wpatrywała się w jej twarz piękną i smutną tak długo, że senne oblicze bogini zaczęło mienić się w jej oczach, zatracać rysy i barwę. Tylko oczy ożyły nagle i spojrzały na klęczącą znajomymi dobrze oczami kobiety, której musiała wbrew sobie nienawidzić. Zawstydzona wyszła z kościoła.

„Przed Mistrzem — pisał do niej mąż — stań w tak pełnej wolności, abyś zapomniała, że miałaś lub masz dla mnie obowiązki. Twoją tylko najprzód sprawą zajmuj się.

Z Mistrzem bądź szczerą do końca końców...“ „Uważaj stan twój teraźniejszy za nowy cud nad tobą, cud, którego wielkość ja tylko jeden całą widzę i czuję, równie jak cudowność twego uzdrowienia“.

Nie trzeba jej było o tym pisać. Zapomniała rzeczywiście, że miała lub ma jakieś obowiązki. Poddała się znów Mistrzowi z pokorą, jak niewolnica, nie widziała w tym nic złego, aż dziwiła się, jak to nieważne, jak błahe wobec spraw wielkich, w których kręgu żyła teraz. Obudził ją nieprzyjemnie z tego stanu list męża. Pisał szorstko i po prostu:

„Posyłam tobie franków 70, więcej nie mam; to, coś zostawiła, nie wystarczyło do końca miesiąca. Zastawiłem kopertę od zegarka. Więcej nic już do zastawienia nie mamy. Tego miesiąca dano już mi tylko pół pensji. Po opłacie chleba, mleka, piwa etc., zostało mi na tydzień życia; po którym tygodniu zacznę troszczyć się i starać się, lubo nie wiem wcale, gdzie się udać. Wiesz, że ja się tym nie trapię więcej niż należy, i ty bądź spokojna. Wszakże dłuższy pobyt twój postawiłby mnie w nowym kłopocie. Bądź zdrowa, nic w domu nowego nie zaszło. Służąca bardzo ciebie wygląda i Helenka za tobą szczególnie tęskni“.

— Służąca bardzo mnie wygląda i Helenka za mną szczególnie tęskni — powtórzyła i uśmiechnęła się gorzko.

Z PAMIĘTNIKA
ZOFII SZYMANOWSKIEJ

„Pierwsze wrażenia odebrane w nieznanym miejscu, są zwyczajnie (dla mnie przynajmniej) stanowcze, nieomylne: otóż, na wstępie do domu Mickiewiczów, uderzył mię jakiś nieład powszechny, zaniedbanie, rozprzężenie jakieś. To pierwsze wrażenie było, wyznaję, przykre dla mnie; ale mnie nie zniechęciło, tylko umocniło w zamiarze, by się pośród wszystkiego, co mnie otoczyć miało, odosobnić niejako, by zachować własną swobodę i sposób życia sobie właściwy. Po tym ogólnym pierwszym wrażeniu doznałam następnie wrażeń pojedynczych; główne były następujące: Mickiewiczowa, którą widziałam wtedy jakby po raz pierwszy, miała na całej swojej osobie głównie cechę zaniedbania, przygnębienia, co na mnie wywarło jakiś obawliwy smutek, a wyznaję szczerze, nie obudziło zaufania do nieznanej mi siostry; bo w jej wejrzeniu, ruchu, i całej postaci, znalazłam potwierdzenia zdania ogólnego, jakoby umysł jej pozostawał błędny od owej pamiętnej choroby; przecież radość, z jaką mnie powitała, okazała mi braterskie jej dla mnie uczucia i pociągnęła mnie ku tej biednej siostrze.

Widok Mickiewicza na razie też nie obudził bezwarunkowej u mnie sympatii; pierwsze spojrzenie, jakie na mnie zatrzymał, uderzyło mnie jakąś siłą badawczą examinującą; zdało mi się, jakby mnie on chciał na wskroś przeniknąć; i w tej chwili powstało we mnie draśnięte uczucie własnej niejako wartości; postanowiłam w duchu mieć się na baczności, by zachować we wszystkiem wolę, zdanie i czucie własne — nawet wobec tego człowieka, którego wielkość uznawałam, a poświęcenie dla ojczyzny czciłam w nim i byłabym chciała naśladować, gdybym miała siły i pole po temu. Pośród dzieci Mickiewiczów, najstarsza córka Marynia jedna zrobiła na mnie odrębne a miłe wrażenie: wyczytałam w jej jasnem spojrzeniu sympatię szczerą, dziecięcą; reszta jej rodzeństwa, tj. siostra i bracia, wydali mi się całkiem zaniedbani; zdało mi się w nich widzieć jakby dzieci natury — ale natury jakiejś dzikiej, mętnej, tutaj znów stanęło mi na myśli, co słyszałam przed przybyciem do Paryża, jakoby Mickiewiczowie, idąc za teorią Towiańskiego, zostawiali dzieci swoje na łasce bożej, jak to mówią, — nie zajmują się wcale rozwinięciem ich umysłu ani jakiemkolwiek kształceniem, że jednak, obok reszty dzieci, widziałam Marynię, pomyślałam, iż to przecież musi pochodzić w znacznej części i z usposobienia indywidualnego dzieci samych: zresztą byłam postanowiła zawczasu najszczerzej nie sądzić tutaj o czemkolwiek z samego pozoru; czułam, że przybyłam niekorzystnie uprzedzona — a że obok tego wrodzona mi była nieufność, miałam się na baczności przeciw samej sobie, bo matki mojej w tym względzie przestrogi wyryte miałam zawsze w myśli i sercu, tak jak wszystkie rady od niej odebrane i wszelkie od niej wspomnienia. Powtarzam więc, iż, pomimo tych pierwszych niemiłych wrażeń, zamiar mój pozostania przy siostrze nie został zachwiany; ale wyznaję, że po tych spostrzeżeniach powstało we mnie jakieś uczucie osamotnienia moralnego, graniczące z obojętnością na wszystko co mnie otaczało. Obok tych pierwszych wrażeń, o których wyżej mówiłam, wspomnieć muszę o jednem, najsilniejszem może; to wrażenie wywarła na mnie kobieta obca, tj. nie należąca do rodziny Mickiewicza — a jednak zajmująca w jego domu jakieś odrębne a poufne stanowisko: zwano ją Xawerą. Opiszę tutaj szczegółowo pierwsze moje z nią spotkanie, bo zejście się z tą kobietą w domu Mickiewicza uważam za fakt ważny: z mojego bowiem chwilowego z nią zbliżenia się wynikły wszystkie dalsze okoliczności. Pomimo wstrętu, muszę tutaj wywołać to, i wiele innych wspomnień; idzie o objaśnienie smutnej przeszłości.

Po pierwszych z rodziną Mickiewicza powitaniach, siostra moja poprowadziła mię do przeznaczonego dla mnie pokoju: był on na górze, nad jej pokojem. Mając iść na schody, rzuciłam okiem w górę i zobaczyłam na przedsionku stojącą kobietę z dzieckiem na ręku; spotkałam wzrok tej kobiety, utkwiony we mnie z siłą tak przenikającą, że uczułam niepokój jakiś, ze wstrętem dla tej kobiety połączony. Jednej chwili stanęły mi na myśli przestrogi owych starszych kobiet: „Zobaczysz tam i usłyszysz ludzi, których idee, niby nowe i wyższe, do najniemoralniejszych czynów prowadzą“: to ostrzeżenie przypomniał mi pierwszy widok Xawery — a świadczę się sumieniem mojem, że nikt mi przed przybyciem do Paryża o Xawerze nie mówił; nie tylko więc nie wiedziałam, że ją u Mickiewicza zobaczę, ale niewiadoma mi była egzystencja tej kobiety na świecie. Tutaj najlepiej dowiodę, jak dalece bezstronną i ostrożną w sądzeniu być chciałam; pomimo wstrętu, jaki obudził we mnie widok Xawery, gdy siostra przedstawiła mi ją jako przyjaciółkę domu, podałam jej rękę szczerze, serdecznie, i z pewnym wewnętrznym wyrzutem postanowiłam zatrzeć pierwsze uczucie niechęci mimowolnej. Uderzyło...“

*

Zimowe rano budziło się powoli z mgły nocnej. Na podwórku kamienicy przedmieścia paryskiego piał kogut, nie litewski kur, przyjaciel lat dziecińę stwa, na podwórku domu rodzicielskiego w Nowogródku, lecz *coq, oiseau de France*. Dozorca, który w wytartej kurtce przechodzi szybko wzdłuż oficyn, to nie Ulisses, stary bajarz, ulubieniec dzieci.

Mickiewiczowi zimno jest w obszernym mieszkaniu, owija się w wyszarzałe futerko, duma nad czymś ćmiąc swój długi jak pastorał cybuch. Twarz jego zmieniła się bardzo. Okrutny czas pobielił mu zupełnie włosy, wzdął jego ciało. Poeta utył — ale mówiąc jego własnymi słowami — była to okropna otyłość. Kiedy jednak podnosił zapuchnięte powieki, oczy jego patrzały jak dawniej — z głębiny, uderzały skoncentrowaną wolą, rozumem, tym rozumem, którym tak gardził.

Z podwórza dochodziły dźwięki poszczególne, odrębne, to jakby kucie młotków, to jakby ostrzenie noży, to wyraźny trzask trzepaczek. Nie usłyszał nawet, gdy uchyliły się drzwi. Weszła Xawera, poprawiła doniczkę na stoliku i nagle rozłożyła ręce; ruch jej strząsnął okwiat fiołków alpejskich, posypały się płatki szkarłatne —, umarłe.

Uśmiechnął się. — Nie martw się, dziecko — powiedział. Ona stała zalękniona, nieśmiała. Nic nie straciła z pierwszej piękności, prawie nie zmieniła się od tego pamiętnego roku, gdy przybyła z Litwy, przynosząc wieść o Zapomnianej.

Wreszcie odezwała się: — Zostało tylko trochę zieleni, zieleń to kolor nadziei. — Nadziei... — powtórzył.

— Czy nie ma żadnej? — zapytała szeptem.

— Żadnej. Widzisz, ja już odchodzę.

Usiłowała przeczyć. Chwytała oddech szybko, jak tonąca, rękami szukała oparcia w powietrzu. Nie było nigdzie oparcia.

— Odchodzę, zwyczajnie. W tym nie ma nic strasznego, nie rozpaczaj.

— Nie, ty nie możesz umrzeć. Masz dzieci — i nasze także...

Uniósł się. — Ależ ja nie mówię o śmierci cielesnej, choć pewno i ona blisko. Mówię o tym, że odchodzę od siebie. Rozumiesz.

Odszedł rzeczywiście, odszedł od siebie, od własnej długo czujnej gotowości serca, od działania, które było jego drugą naturą, od młodości, która żyła w nim, dopóki działał.

Dom był pusty i zimny. Dzieci, zaniedbane włóczyły się z kąta w kąt, osowiałe. Celina siedziała całymi godzinami nieruchoma, albo modliła się milcząc przed obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej. On również milczał.

Raz tylko, kiedy młodsza córka przyniosła doniczkę fiołków alpejskich, zaczął krzyczeć na przestraszoną dziewczynkę, że wydaje pieniądze na błahostki, wyrwał jej z rąk doniczkę, trzasnął o podłogę, aż posypały się skorupy. Potem złagodniał, pogłaskał ją i przyprowadziwszy do swego biurka, kazał jej usiąść i czytać z dużej oprawnej w czarną skórę księgi, której nie lubiła. Pokazał palcem: czytaj. Czytała, posłuszna i przez łzy, bo nie wiedziała, o co ojciec się rozgniewał na nią.

„Obleczone jest ciało moje w robaki i w plugastwo z prochu, skóra moja popadała się i rozsiadła się.

Dni moje prędsze są, niż czółnek tkacki i strawione są bez nadziei.

Wspomnij, o Panie! iż wiatrem jest żywot mój, nie wróci się oko moje, aby widziało dobre rzeczy...

Jako niszczeje obłok i przemija, tak zstępujący do grobu nie wynijdzie.

Nie wróci się więcej do domu swego, ani go więcej pozna miejsce jego“...

Mieczysław Jastrun

*) Porównaj „Odrodzenie“ — nr 49 (1947) i nr. 5, 7, 9, 13—14, 17 (1948).

KONKURS
na pamiętniki i wspomnienia żołnierskie

Odpowiadając na liczne zapytania dotyczące ostatecznego terminu nadsyłania prac na konkurs pt. „Pamiętniki i wspomnienia żołnierskie“ Dom Wojska Polskiego komunikuje, iż wobec licznych próśb termin ten uległ przesunięciu i został ustalony ostatecznie na dzień 1 września 1948. Jednocześnie sekretariat konkursu przypomina, iż tematem prac konkursowych mają być wspomnienia żołnierskie, dotyczące walk żołnierza polskiego na wszystkich frontach walki z faszyzmem w okresie drugiej wojny światowej. Ze względu na wielkie zainteresowanie, jakie wzbudził konkurs, oraz dużą ilość napływających prac, liczba nagród ulegnie znacznemu powiększeniu.

Prace należy nadsyłać w dalszym ciągu (do dnia 1 września br. włącznie) na adres: Dom Wojska Polskiego, Warszawa, ul. Królewska 13, Wydział Literacki z dopiskiem „Konkurs na pamiętniki i wspomnienia żołnierskie“.

LOUIS ARAGON — przełożył JERZY ZAGÓRSKI

PIOSENKA O RADZIE MIEJSKIEJ

Gdzie jesteśmy Robactwo słońce żre
Gdzie jesteśmy kadzidłem czuć inkaustem
Gdzie jesteśmy kim są postacie te
Gdzie jesteśmy pokryte niebo kłamstwem
Gdzie jesteśmy

To Paryż był to Quai de Parme o patrz
To Paryż był te dachy błękitnawe
To Paryż był ten uśmiech i ten płacz
To Paryż był nikt zwątpić nie mógł nawet
To Paryż był

Szaleństwo złe na Francję niesie wiatr
Szaleństwo złe powlekło sadzą oczy
Szaleństwo złe jakiego nie znał świat
Szaleństwo złe w fartuchu ciemnym nocy
Szaleństwo złe

Ach co za ryk cóż za okropne piski
Ach co za ryk rozbija tu obozy
Ach co za ryk ten wieczór diabłów wszystkich
Ach co za ryk okropny wieczór grozy
Ach co za ryk

Nie krzyczcie tak was jeszcze słyszeć będą
Nie krzyczcie tak bo głos przemieni echo
Nie krzyczcie tak dywany dywidendy
Nie krzyczcie tak jest jeszcze wino w miechach
Nie krzyczcie tak

Upiory te pocące się w całunach
Upiory te i ich niepewny tan
Upiory te z roczników starych suną
Upiory te tak dobrze znane nam
Upiory te

Poznacie ich po pięknych ich zasadach
Poznacie ich po małym pantofelku
Poznacie ich cudowna to parada
Poznacie ich na schodach już po zgiełku
Poznacie ich

Dobry wam jest kto często wam umiesi
Dobry wam jest by rączki podgrzać trochę
Dobry wam jest kto wam napycha kieszeń
Dobry wam jest kto wpędza nas do lochu
Dobry wam jest

Wy oczywiście już nie spuścicie z tonu
Wy oczywiście to jasność co się skrzy
Wy oczywiście od wielkiego dzwonu
Wy oczywiście to już reguła gry
Wy oczywiście

Awanturnicy wygląda wrzód spod maski
Awanturnicy malować twarz na próżno
Awanturnicy kość białą kryją kaski
Awanturnicy krew jest od wina różną
Awanturnicy

Kto poznał was na grób już składa napis
Kto poznał was ten drży o swoje grosze
Kto poznał was już wpada w bzdurę jakąś
Kto poznał was tego już wszystko płoszy
Kto poznał was

Możecie brać psy wasze i chimery
Możecie brać winnice z waszych wzgórzy
Możecie brać osiemnasty brumaire'a
Możecie brać zamczyska i zamtuzy
Możecie brać

Fircyki ach łupieska zbójcy minka
Fircyki ach spod pudru się wynurza
Fircyki ach pół - figi pół - rodzynka
Fircyki ach ma swoje kolce róża
Fircyki ach

Wspomnicie jeszcze place de la Concorde
Wspomnicie jeszcze co każdy śnić z was mógł
Wspomnicie jeszcze ludzi od sznura, torb
Wspomnicie jeszcze jak twardy bywa bruk
Wspomnicie jeszcze

Panowie Radni ci z Lotaryńskim Krzyżem
Panowie Radni wybrańców kiepski rząd
Panowie Radni Tarpejska skała bliżej
Panowie Radni bliżej niż myślą stąd
Panowie Radni

MARIAN SPYCHALSKI

„Sylwester" — dowódca Warszawy



Stanisław Skrypij

Walka zbrojna i partyzantka w całym kraju rozwijała się biorąc przykład z walki Warszawy. W wyzwoleńczej wojnie ludowej naszego narodu Warszawa zdobyła sobie wyjątkową pozycję i znaczenie. Wywalczyli je nowi ludzie, którym w latach okupacji wypadło warsztaty, książki i zamiłowania zamienić na naukę żołnierki i dowodzenia w codziennej walce zbrojnej z Niemcami, bądź to w lesie partyzanckim, bądź to na ulicach patrolowanych miast.

Jedynie słuszna, prowadząca do wyzwolenia kraju strategia polskiej demokracji polegała na jednoczeniu i mobilizowaniu całego narodu do długotrwałej i bezlitosnej wojny. Nie można było dopuścić do ustabilizowania się okupacji ani do paraliżującej społeczeństwo bierności. Walkę narodu demokracja polska powiązała z walką na głównym froncie wojny, którym był zawsze front wschodni. Taktyka walki zbrojnej polegała natomiast na nieustannych, krótkich lecz zdecydowanych uderzeniach na wszystkie ośrodki wroga, a przede wszystkim na jego transport, łączność i administrację oraz na policyjne ośrodki terroru. Niemcy bowiem nie mogli wszędzie skutecznie się bronić, lub atakować i nie mieli też sił, by opanować naród i cały obszar Polski. Najważniejszym wtedy zagadnieniem było upowszechnienie walki, którą by żył cały naród i w której by współdziałały wszystkie walczące z Niemcami organizacje zbrojne.

Walkę Warszawy, którą żyła cała Polska i o której usłyszał świat, organizowali nowi ludzie powstającej Polski Ludowej; kierowali oni osobiście tą walką i przyciągali do jej szeregów wspaniałych chłopców Woli i Koła, Śródmieścia i Powiśla, Żoliborza i Mokotowa, chłopców z Bródna, Targówka, Utraty, Pragi i Grochowa. Walka zbrojna stała się wówczas wielką szkołą charakterów i umiejętności, która często niezdecydowanych, lub niedostatecznie wyszkolonych ludzi wychowywała na wspaniałych dowódców, zdolnych stworzyć silną, zdyscyplinowaną organizację, dokonywać najśmielszych akcji bojowych, mimo złego uzbrojenia i skromnych środków. Organizacje Gwardii i Armii Ludowej oraz ich ludzie wyrośli przede wszystkim w boju, zdobywając w nim siłę moralną, broń, nowe szeregi i pieniądze na walkę.

Inżynier-architekt Stanisław Skrypij, pseudonim „Andrzej", dowódca Żoliborza później dowódca Warszawy — pod pseudonimem „Sylwester", jeden z najzdolniejszych architektów młodego pokolenia, esteta i intelektualista — był jednym z najdzielniejszych dowódców Gwardii Ludowej. Porzuciwszy swój piękny zawód i umiłowaną bibliotekę, zamienił pracę nad planami przyszłej Warszawy — na plany sztabowe, tak potrzebne wówczas walczącemu ludowi stolicy.

Podziemna, ludowa Warszawa miała wielu dowódców. Z każdym z nich związany jest pewien ważny okres w dziejach Gwardii i Armii Ludowej oraz w życiu samej Warszawy. Związane są z nimi bohaterskie akcje i rozwój organizacji. Był u jej zaczątków, jeszcze w Związku Walki Wyzwoleńczej, a potem w Gwardii Ludowej: „Murzyn", „Czarny Roman" — Fajge, młody oficer rezerwy, uczestnik walk wrześniowych, organizator pierwszych akcji zbrojnych w 1940 i 1941 roku, w których brał osobiście udział. Poszukując broni, wpadł w ręce gestapo i zginął na alei Szucha, nie załamując się mimo tortur. Był dowódcą Warszawy „Paweł" — inż. Borys Jaszczuk, dzisiejszy wiceprezydent Warszawy, również oficer rezerwy, współorganizator pierwszy oddziałów partyzanckich, które wyruszyły z Warszawy. Aresztowany, przetrwał obozy koncentracyjne. Był „Antek" — Kania, technik i oficer rezerwy, uczestnik walk wrześniowych. Chodził na akcje, na tory kolejowe. Aresztowany we wrześniu 1941 r., ginie jako jeden z pięćdziesięciu powieszonych w Warszawie. Był młody robotnik z Targówka: „Janek" — Bolesław Kowalski, podoficer rezerwy, później pułkownik Armii Ludowej. Bił się we wrześniu 1939 r. podczas oblężenia Warszawy, a w 1944 r. zginął w powstaniu warszawskim jako dowódca Warszawy wraz z całym sztabem AL na Starym Mieście, zasypany bombami i gruzami przy ul. Freta 16. Był „Gustaw", dr Szternfeld, major ludowej armii hiszpańskiej, organizator akcji odwetowej za Pawiak, aresztowany i zamordowany przez gestapo na alei Szucha. Był górnik polski z Francji „Bruno" — Franciszek Księżarczyk, również major ludowej armii hiszpańskiej, dąbrowszczak, obecnie Z-ca Głównego Komendanta MO. Kierował on warszawską organizacją Gwardii Ludowej w czasie natężonego terroru w jesiennych miesiącach 1943 r.

Był wreszcie dowódcą Warszawy „Sylwester" — Stanisław Skrypij, inżynier-architekt, oficer rezerwy, uczestnik walk wrześniowych, w których został ranny, i pracownik Wydziału Planowania Miasta Warszawy. Zaczął jako dowódca drużyny, aby potem po stanowisku szefa sztabu dzielnicy Żoliborz i dowódcy tej dzielnicy — zostać szefem sztabu warszawskiego dowództwa Gwardii Ludowej, a wreszcie w 1942—43 roku — komendantem Warszawy. Zginął w maju 1943 roku, skatowany przez Niemców na alei Szucha, z połamanymi rękami, jednak nie złamany torturami i hardy do końca, aż do ostatniej salwy egzekucyjnej.

„Sylwestra" łączyła z Warszawą nie tylko miłość żołnierza, ale i — przywiązanie architekta-urbanisty, który jako współtwórca koncepcji nowej, piękniejszej stolicy, razem ze sztabem zasłużonych i oddanych Warszawie urbanistów, inżynierów-architektów, inżynierów-mierniczych, ekonomistów i techników, z uporem walczył o realizację planu rozbudowy stolicy.

Głęboko wrażliwy na krzywdę ludzką, „Sylwester" nienawidził przedwojennych stosunków społecznych, faszyzmu i hitleryzmu, które przenikały do najbardziej zacofanych grup studenckich. Jeszcze na długo przed 1939 rokiem sympatyzował z tymi kolegami, którzy broniąc honoru Politechniki Warszawskiej potępiali pogromy oraz tolerancyjne stanowisko władz uczelni. Dawała mu zadowolenie praca w Wydziale Planowania wśród ludzi, których troską był lepszy i piękniejszy rozwój miasta, bardziej ludzkie warunki pracy robotników i pracowników umysłowych, lepsze mieszkania i lepsze dzielnice mieszkaniowe. Pracy tej oddał się bez reszty, poświęcając jej swój talent i dużą wiedzę. Jego świetne rysunki ilustrowały nowe założenia architektoniczne, wizję przyszłej Warszawy.

Wrześniowy najazd i klęska miały szczególnie dotkliwe skutki dla pracowników Wydziału Planowania Miasta oraz nowego planu zabudowy Warszawy, którą niszczyli teraz zarówno hitlerowski żandarm, jak i hitlerowski architekt. Po przejściach kampanii wrześniowej Stanisław Skrypij powrócił do swojej pracy. Pracuje obok mojego pokoju i wspólnie z kolegami przeżywa tragedię stolicy, którą hitlerowcy skazali na wyniszczenie i powolne wyludnienie. Wśród przydzielonych nadzorców niemieckich było dwu architektów hitlerowskich, którzy przeprowadzali studia nad zmniejszeniem Warszawy do wymiarów prowincjonalnego, tak zwanego: staro-niemieckiego miasta. Przeprowadzamy planowy sabotaż wszelkich prac. W Wydziale właściwie się nie pracuje. Od pracowników wymaga się jedynie podpisywania listy obecności i pojedynczych dyżurów. W tym czasie zaczyna się już u nas rozwijać życie konspiracyjne. Jest tu również mocny ośrodek Gwardii Ludowej. „Sylwester" znajduje jednak do niej drogę poza naszym wydziałem. Wiedziałem, że dotarł do organizacji i że pracuje w niej nadzwyczaj dobrze, biorąc udział w zbrojnych akcjach. Nie wiedząc o naszej pracy konspiracyjnej w Wydziale, przez długi czas prowadził zapalczywe dyskusje i zachęcał najbliższych kolegów, by wstępowali w szeregi Gwardii Ludowej. Sam zaś wybierał się do partyzantki.

Kierownicy warszawskiej organizacji GL powołują go za dobrą pracę na dowódcę Żoliborza. Wspominając o nim jako o „Andrzeju", opowiadają mi, że systematycznie wyprowadza swoich chłopców na ćwiczenia, pisze dla nich instrukcje bojowe, organizuje akcje zbrojne. Z dokładnością techniczną przeprowadza akcje rozsypywania gwoździ na szosach z pedanterią przecina i niszczy słupy, druty telefoniczne. Podejmuje niezwykle śmiałe rozbrojeniówki, zdobywając broń i pierwsze doświadczenia w walce, która sama dokonywa w nim przemian. „Sylwester", dla nas wszystkich, którzyśmy go znali z okresu przedwojennego, jest żywym przykładem, jak wyrasta w walce człowiek i nowa kadra ludowych dowódców, którzy, organizując i prowadząc walkę, sami się w niej przetwarzają. Widzieliśmy, jak rosło w nim poczucie pewności, siły i dyscypliny gdy od niekończących się dyskusji i gadulstwa o walce — przeszli do walki, namacalnej jak każdy zdobyty na Niemcach granat.

„Sylwester" zmężniał i stwardniał. Z delikatnego i wrażliwego intelektualisty, który przeżywał jeszcze rozterki moralne, wyrósł na świetnego dowódcę spokojnego w chwilach największego niebezpieczeństwa, o dorze szybkiej refleksji i decyzji. Bierze udział w najśmielszych akcjach Gwardii Ludowej: w zamachu na Café Club, przeprowadzonym jako odwet za pięćdziesięciu powieszonych w alejach Ujazdowskich, w akcji na KKO, gdy oddział szturmowy Gwardii Ludowej, która skonfiskowała milionową kontrybucję, nałożoną przez Niemców na Warszawę.

Nie pracowałem już wtedy w Wydziale Planowania Miasta. Musiał to być jednak niezwykły widok, kiedy po dokonanej akcji na KKO „Sylwester" udał się jak zwykle do pracy i spokojnie wysłuchiwał rozgorączkowanych i gestykulujących kolegów, w których opowiadaniach przeprowadzona akcja urastała już do legendy. Przysłuchiwał im się z uśmiechem, udając że nie wie o niczym. Wypada przytoczyć tutaj opowiadanie „Marty" — Jadwigi Mijal, która w swoich wspomnieniach zapamiętała słowa „Sylwestra", powracającego do biura jeszcze z bronią w kieszeni.

— Udało się, Marto, bez jednego wystrzału. Obawiam się tylko o Kazika i o to czy Niemcy nie zrobią czasem jakiejś awantury w banku. Bo gdyśmy wychodzili ostatni z „Wiktorem" bocznym wejściem od Traugutta, to już przy głównym wejściu od Czackiego stali Niemcy z wyciągniętymi szyjami i karabinami, przyczajeni do strzału. Wyobraź sobie, bałwany, czekali na nas, a my staliśmy poza ich plecami, z tekami wypchanymi pieniędzmi. Nawet nie pomyśleli o tym, że mogą być dwa wejścia do banku.

„Sylwester" bierze udział we wszystkich następnych akcjach: na Wytwórnię Papierów Wartościowych, na II, III Oddział KKO, organizuje i niesie pomoc walczącemu ghettu. Pracownicy biura i jego bliscy koledzy nie domyślali się nawet, że obok nich siedzi jeden z najbardziej odważnych dowódców, opanowany, choć pełen wewnętrznego ognia oficer, który obok planu Warszawy i pięknych rysunków — oficjalnych zajęć — obmyślał plan opanowania Warszawy i miejsca nowych akcji. Warszawę znał tak, jak może tylko znać architekt planujący zabudowę miasta. Sekretarze warszawskiej organizacji PPR mieli w związku z tym częste kłopoty. „Sylwester" bowiem, umawiając się z nimi na spotkania, proponował im często takie ulice, o których nigdy nie słyszeli. Lubił w ten sposób żartobliwie tryumfować. A kiedy zmartwieni pytali go o te ulice, z pobłażliwym uśmiechem radził im zapatrzyć się w plan Warszawy.

„Sylwester" rósł w robocie. Był nadzieją całego kierownictwa. Lubili go gwardziści i robotnicy warszawscy. Nie potrafiły go złamać najcięższe nawet przeżycia. Zacinał się po nich jeszcze bardziej w sobie, oddając się walce i pracy organizacyjnej. Jednym z ciężkich momentów w życiu „Sylwestra" było zamordowanie jego narzeczonej, koleżanki z architektury, której nie mógł uratować od wywózki do Treblinki i stracenia w komorze gazowej. Było to w ciężkim okresie, jaki przeżywała wówczas organizacja warszawska, gdy w lokalu inżyniera-architekta Stanisława Nowickiego — „Felka", również pracownika Wydziału Planowania, redaktora podziemnego Biuletynu Radiowego: wydawnictwa warszawskiej organizacji PPR — nastąpiła tragiczna wpadka „Małego Jurka" — Jerzego Albrechta. Należało zrobić wszystko, aby uratować St. Nowickiego, który mógł powrócić do Warszawy i w każdej chwili dostać się w ręce przyczajonych w jego lokalu gestapowców. Trzeba było jednocześnie ostrzec go przed tym w Wydz. Planowania Miasta, w którym oberbaurat Pabst, czuwający nad „planowaniem zabudowy „Warszawy", zorganizował zasadzkę w porozumieniu z gestapo. Wówczas pomijając drogę organizacyjną, zwróciłem się do „Sylwestra" z prośbą, żeby uczynił wszystko i uchronił kolegę przed zasadzką. Tym razem udało się nam uratować naszego towarzysza. Ciężkie przeżycia, które miał w tym czasie „Sylwester", nie wpłynęły na jego postawę w walce, jak można by tego było oczekiwać. Zabliźniły się w nim podobnie jak rana wrześniowa.

Wielka popularność, którą zdobył w Warszawie wśród gwardzistów i robotników, miała także i swoje złe strony, a to z uwagi na niedostateczną konspirację, którą „Sylwester" zdawał się lekceważyć. Organizacja poleciła mu opuścić Wydział Planowania i przejść na formę pracy nielegalnej. Brawura, a może wiara w szczęście stała się przyczyną nieszczęsnego aresztowania. Został wzięty ze swojego domu, do którego przyszedł przespać się tylko na jedną noc. Zginął wśród kilkuset rozstrzelanych na Pawiaku, w maju 1943 roku. Była to jedna z największych i najokrutniejszych egzekucji w Warszawie.

W odwecie za Pawiak Gwardia Ludowa dokonała jednego ze swych największych uderzeń, łącząc akcję propagandową żołnierzy ŻWZ-tu z wysiłkiem gwardzistów i czwartaków, którzy 15 lipca wyszli na ulice Warszawy z granatami, rzucając je w Café Clubie, w Alejach Ujazdowskich na kompanię szturmową i na niemieckie tramwaje na Placu Żelaznej Bramy. Mszcząc pomordowanych na Pawiaku, Gwardia Ludowa dała wyraz zdeterminowanej postawie Warszawy, która nie ulękła się egzekucji, odpowiadając terrorem na terror. Jednocześnie Gwardia Ludowa wzięła odwet za mord popełniony na komendancie Warszawy i jednym z najdzielniejszych dowódców, dając dowód, że na jego miejsce stanęli nowi żołnierze.

Marian Spychalski

NAGRODA LITERACKA »ODRODZENIA«

Pragnąc przyczynić się do ożywienia twórczości literackiej Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik" ustanowiła coroczną nagrodę „Odrodzenia". Nagrodę tę przyznawać się będzie każdego roku w dniu 22 lipca, w dniu święta Odrodzenia Polski, za najwybitniejszy tom prozy (powieść, opowiadania, krytyka, wspomnienia) ogłoszony drukiem po 1.IX.1939 r. W ubiegłym roku nagrodę otrzymał Jarosław Iwaszkiewicz za książki: „Nowele włoskie" i „Nowa miłość".

Podajemy skład jury tegorocznej nagrody „Odrodzenia":

Tadeusz Breza, Jarosław Iwaszkiewicz, Juliusz Kleiner, Julian Krzyżanowski, Zofia Nałkowska, Kazimierz Wyka, Stefan Żółkiewski.

WYSOKOSC TEGOROCZNEJ NAGRODY WYNOSI ZŁ 250 000

WOJCIECH ŻUKROWSKI — rysunki JULIUSZA KRAJEWSKIEGO

Ręka ojca

7)

— Wiem. Temu jednemu procentowi wynikającemu z rachunku prawdopodobieństwa. Dotychczas szczęście nam towarzyszyło. Wolałbym, żebyś tego nie rozgłaszała, lepiej przedwcześnie nie tryumfować. Będziesz się śmiała, ale Grecy mieli rację, nie należy zwracać na siebie uwagi bogów, bo się stają zazdrośni — uśmiechnął się, biorąc ją pod ramię.

— Ludwisiu, wiem, że żartujesz...

Z domu wypadła Gabrynia. Z roześmianą twarzą garnęła się do ojca. W krótkim płaszczyku wyglądała na jeszcze wyższą i chudszą. W twarzach ich obojga, mimo innych oczu było podobieństwo, głębsze, płynące z uczucia, trudne do określenia, ale uderzające jak zwykle w rysach córek rozkochanych w swych ojcach.

— Tatuśku, czy mogę pójść z dziećmi do parku?

— A nie zaziębisz mi się?

— Będę cały czas biegała!

Sędzia pochylił się, pocałował ją w czoło, odpowiedziała długim tkliwym przytuleniem.

— To idź, mamusia chyba ci pozwoli?

— No, muszę się zgodzić — powiedziała Nahorayska.

Dziewczynka już biegła na przełaj, grzęznąc w głębokim śniegu.

— Poczekajcie! — wołała do dzieci, które nikły między drzewami parku. — Poczekajcie na mnie! Idę się z wami bawić!

Sędzia przyjrzał się żonie bokiem, wydała mu się odmieniona, nawet go zaciekawiała.

— Czy sądzisz, że tu, u nas w zamku, może się coś kryć, co by nam groziło niebezpieczeństwem?

— O na pewno, to zresztą kryje się w każdym z nas!

— Przepraszam cię. Mimo tej pasjonującej dyskusji, nie myślę rezygnować ze śniadania. I tak dziś wszystko spóźnione. Wystarczyło, że brakło Jana, a już ksiądz nie mógł dać sobie rady z kaplicą. Widzisz, jednak dopadł nas... Dzień dobry księże, piękne kazanie — powiedział dwuznacznie — tylko nie mogłem pochwycić tego zwrotu o schodach...

— Bo to już bezczelność panie sędzio. Wczoraj ich przyłapano na stryszku w sianie, a dziś przychodzi panna Celina wywoływać mi go z kościoła!

— A kto ich wczoraj widział? — zapytał sędzia udając, że o niczym nie wie.

— Pani Wacława.

— O to zupełnie zmienia...

— Czy pan wątpi w jej prawdomówność?

— Drogi księże kapelanie, zawsze wyposzczonym pustelnikom śniły się zastawione stoły, ona męża całą wojnę nie widziała, więc miewa takie złudzenia, wszędzie się dopatruje miłostek... Podświadoma kompensacja — przygwoździł — dziwię się, że ksiądz tak łatwo uwierzył... Tadek i Celinka, przecież to prawie dzieci...

— Ludwisiu nie kpij — szepnęła pani Janina.

— Myśli pan, że mogło jej się wydawać? Po tych młodych ja się wszystkiego najgorszego spodziewam. Panie sędzio — zawołał przypomniawszy sobie — przecież z nią była i Walercia, obie nie mogły się mylić...

— To właśnie druga, co za dużo widzi! Dziś mi naopowiadała takich historii, że tylko pakować manatki i uciekać stąd

— Co pan mówi?

— Wydało jej się, że w podziemiach zamkowych trafiła na piwnicę pełną broni...

Poczuł, jak ramię żony drgnęło, zwróciła się żywo ku niemu.

— Broń dla śpiących rycerzy, wie ksiądz kapelan, takich ze skrzydłami, co to potrafią każdą wojnę przespać snem pełnym zasługi...

Za nim szła Ratajczakowa z Walercią.

— Ale jej wygarnął, aż mi się żal dziewczyny zrobiło!

— A na czym ją przyłapał?—zaciekawiła się Irka.

— Nie twoja sprawa, masz czas na takie rzeczy.

— Z chłopcem i na sianie. Nie ma pani czego przed nią kryć, niech wie, niech się strzeże, może jutro będą ją namawiać do tego samego.

— Mamo, ja skoczę na chwileczkę do pani Wacławy.

— Wczoraj noc cię u niej zastała, dziś od rana z nią zaczynasz? Nic się tam dobrego nie nauczysz. Co to dla ciebie za towarzystwo — słomiana wdówka!

— To może mam się z Celinką zadawać, jak ją ksiądz z ambony palcem pokazywał?

— Jedna drugiej warta. Matki się powinnaś trzymać. No idź, tylko nie siedź długo. Przyjdź do nas do kuchni, to pomożesz...

Irka wbiegła na schody. Ruchy jej były niezręczne, jakby nie oswoiła się jeszcze z długością nóg. W ostatnim roku wyrosła bardzo. Krótkie sukienki odsłaniały kolana, zaczęła się lekko garbić, kryła zaokrąglające się piersi.

Budziły się w niej niespokojne tęsknoty, była spragniona czułości, z przymkniętymi oczami pogrążała się w marzeniach, nuciła banalne tanga. Radosna młodość, trwoniona w latach wojny, mieszała się ze smutkiem przedwczesnej wiedzy o sprawach ludzkich, które odbywały się na jej oczach. Ciekawość dziewczęcą łączyła z łzawym przeczuciem cierpienia i pokorną gotowością na przyjęcie miłości, choćby miała grozić bólem i trwogą.

Chłopcy jeszcze omijali dziewczynę pogardliwie, wydawała im się niedojrzała, raziła ich niewinnością, za to mężczyźni zwłaszcza starsi przyglądali jej się natarczywie i wyczekująco. Pociągała ich. Zauważywszy zainteresowanie, spuszczała oczy, robiło jej się gorąco, serce biło radośnie i rosła w niej pewność, że nie jest brzydka, że jeszcze będzie się podobać. Zaczęła dbać o



pończochy, spinki do włosów i paznokcie. Zmieniła nagle przyjaciółki, przylgnęła całym sercem do Wacławy, która ją przerażała i urzekała zarazem.

Na drzwiach wisiała wizytówka: Wacława Zeidler-Siemiątkowska. Irka zapukała i usłyszawszy przyzwalające mruknięcie, weszła szybko.

W pokoju już było napalone. Wacława siedziała rozebrana, niezawiązany szlafrok puszczony luźno odsłaniał bieliznę i jędrne, jasne ciało. W ściśniętych wargach trzymała szpilki, upinała włosy, spiętrzone w czub nad czołem. Jej brew marszczyła się w lusterku. Ogień huczał, na kaflach pieca odbijał się błękit pogodnego dnia.

— Dzień dobry pani, wpadłam tylko na chwilkę!

Wacława skinęła jej głową, poprawiła loczek. Irka podeszła bliżej.

— Jakie to ładne — powiedziała — oglądając koszulkę Wacławy i zaraz pomyślała, że nie warto jej kłaść, jeśli się nie ma komu pokazać. Zarumieniła się. Postanowiła, ściągnąwszy wargi, że od tej chwili będzie zimną, świadomą swej drogi kobietą.

— No jak tam, mróz? Bolszewicy daleko?

— Chłodno, ale przyjemnie. Wszystko po dawnemu, nawet frontu nie słychać. Myśmy już po mszy, a pani dopiero wstaje!

— Wolę się wyspać. Czekałam, aż się piec rozgrzeje. Do czego mam się śpieszyć? — Zrzuciła szlafrok, przeciągnęła się, ciemny skręt włosów błysnął jej spod pachy. — Nudno tu, za spokojnie. Zaczynam już żałować, że uległam pierwszemu nastrojowi i przyjechałam na wieś. Po powstaniu, każdy z nas myślał: uciekać, zaszyć się w jakąś dziurę i odpocząć. Tak szybko człowiek się odwrócił od tego wszystkiego plecami... Nie, zapomnieć się tych miesięcy nie da, ale patrzę na nie jakoś pobłażliwie...

— Pani pewnie dużo przeszła. Straciła pani kogoś z rodziny?

— Nie. Tylko ludzie dokoła ginęli. Właściwie już to przestawało być straszne. Rozmawiało się z człowiekiem, umawiało spotkanie i za chwilę już go nie było, dosłownie znikał..

— Bardzo się pani bała?

— Nie bałam się, tylko się dziwiłam od tego zdziwienia aż się w głowie pusto robiło.—Poślinionym palcem przygładziła brwi. — Ksiądz jest u siebie?

— Tak. Szedł właśnie na śniadanie. Co pani dzisiaj robi? Może przeszkadzam?

— Nie. Siedź. Lubię z tobą rozmawiać, jesteś jeszcze głupiutka. No, to nie twoja wina, zmądrzejesz jeszcze. Życie niejednego uczy. Powiedz, bardzo tu ludzi gorszę?

— Czym? — udała Irka niezręcznie zdziwienie.

— Nie bój się, ja i tak wiem! Przecież słyszysz co się na mnie wygaduje w kuchni, matka też ci chyba powtarza?

— Bo jednak księdzu powinna dać pani spokój...

— E, co ty się znasz... Ja się tylko bawię, gdybyś wiedziała, jaki on jest wstydliwy i nieśmiały, trudniej go oswoić jak młodego chłopca. Zresztą co? Krzywdy mu nie zrobię... Ostrzę sobie tylko na nim zęby — rozumiesz? Nic nie rozumiesz! Przyjemnie jest zajść do niego, pogadać, wypić kieliszek wiśniówki, zamącić mu spokój. Przyjemnie przejść się po parku, na oczach wszystkich i słyszeć jak tam w kuchni aż syczy... To jest zabawa! Przyznaj się, że i ty myślisz o mnie wszystko najgorsze? Wiem o tym i znoszę cię tylko dlatego, że tu takie pustkowie...

— Nie, pani nie jest zła! — powiedziała poważnie Irka. — Tylko pani czegoś brakuje! Więc pani szuka i niecierpliwi się...

— O, jakaś ty domyślna! Gdybyś nie miała takiego miłego pyszczka i tyle pożądliwości nie świeciło ci się w tych niewinnych oczkach, dawno bym ci powiedziała — wynoś się.... No chodź tu...

Irce słodką była ta tyrania. Ociągając się, dla zaznaczenia swej urazy, podeszła jednak. W ciemnej sukience z pikowym kołnierzykiem wyglądała na to, czym w istocie była — wyrośnięte dziecko.

— Popatrz mi w oczy... Tylko nie kłam, ujęła ją pod brodę. —

STANISŁAW GOGŁUSKA

Z życia literackiego Francji

NOWY PODATEK... OD KLASYKÓW

Francuskie Zgromadzenie Narodowe przyjęło 13 lutego jednogłośnie — dawno to już niewidziana jednomyślność tego ciała ustawodawczego — projekt nowego prawa autorskiego, dotyczący klasyków literatury. Jeżeli to prawo zostanie ostatecznie wprowadzone w życie, może wpłynąć w bardzo istotny sposób na francuski przemysł wydawniczy i księgarski. W myśl bowiem jego postanowień znika ze słownika literackiego pojęcie „domaine public" — własność ogólna, a spadkobiercą pisarza w 50 lat po jego śmierci staje się związek literatów (Société des Gens de Lettres). Spadkobierca ten będzie miał prawo pobierania od wydawcy honorarium za Biblię, dzieła Platona, Szekspira, Balzaka czy Mickiewicza w wysokości 6 proc. ceny sprzedażnej książki. Połowa tej sumy przypadnie towarzystwu, które postara się zapewnić spokojną starość pisarzom, druga zaś połowa pójdzie do tzw. „kasy literackiej", dziś jeszcze nieistniejącej. Z niej będzie się czerpało fundusze na stypendia i pożyczki dla pisarzy, subwencje na publikowanie tez doktorskich, studiów naukowych i krytycznych wydań dzieł.

Troska o pisarza, przejawiająca się w tym projekcie, którego ojcem był podobno Wiktor Hugo, jest zupełnie zrozumiała, jeżeli weźmie się pod uwagę fakt, że rządowa subwencja dla literatury spadła z 5 milionów franków do 400 tysięcy w roku 1948, roku dewaluacji franka, oraz że wymieniony związek literatów płaci 190-wiekowym pisarzom emeryturę w śmiesznej wysokości tysięcy franków rocznie. Nic dziwnego, że w tych warunkach francuskiego pisarza ogarnia lęk o przyszłość i że najpoważniejsza organizacja literacka, ciesząca się dużym kredytem moralnym w kraju i za granicą, organizacja założona sto dziesięć lat temu i kierowana przez takich pisarzy, jak Balzak czy Hugo, występuje w obronie życiowych interesów swoich członków.

Jednomyślność Zgromadzenia Narodowego świadczyłaby o tym, że deputowani francuscy rozumieją konieczność przyjścia z pomocą pisarzom. Dziwi jednak to, że nie odezwał się ani jeden głos w obronie czytelnika, na którego spada jeszcze jeden ciężar w okresie, kiedy siła nabywcza franka zmalała a książka zajęła dalekie miejsce w hierarchii potrzeb, stając się przedmiotem zbytku. Dziwi to tym bardziej, że w tygodniach poprzedzających uchwalenie nowego prawa toczyła się wokół niego ożywiona dyskusja w prasie.

Spór rozgorzał z tym większą siłą nazajutrz po dziesięciominutowych zaledwie obradach Zgromadzenia nad tym projektem. Najbezwzględniej wypowiedział się przeciw niemu w „Le Monde" E. Gilson, wybrany w roku ubiegłym do Akademii Francuskiej. Głos jego ważny jest nie tylko ze względu na samą argumentację, ale i dlatego że Gilson zasiada w drugiej izbie francuskiej, zwanej Radą Republiki, która na nowo przedyskutuje gruntownie nową ustawę.

Gwałtowniejsze protesty padły ze strony wydawców, którzy grożą zaniechaniem publikacji klasyków. Nie od rzeczy będzie dorzucić, że w ostatnich latach eksploatowano klasyków intensywnie, luksusowe zaś wydawnictwa przeznaczone dla bibliofilów robiły, zdaje się, na tym niezłe interesy. Wydania luksusowe dzieł, stanowiących już własność ogółu najczęściej ilustrowane, dochodziły czasem do liczb astronomicznych. Dość powiedzieć przykładowo, że „Rozprawa o metodzie", ilustrowana (!), kosztuje 30 tysięcy franków.

Jakie argumenty wysuwają przeciwnicy projektu? Przede wszystkim ostrzegają przed spadkiem czytelnictwa w związku z podrożeniem książki. Według kalkulacji wydawców ceny klasyków podskoczą od 21 — 30 proc. Dlaczego ta podwyżka ma być tak wydatna, nie wyjaśniają. Czyżby rachunkowość wydawcy była dla laika niezrozumiała?

Ponieważ sześcioprocentowa taksa ma objąć także dzieła importowane, należy się obawiać represji ze strony zagranicy, które zapowiadają już podobno wydawcy belgijscy. Książki eksportowane oraz wydania szkolne nie są objęte podatkiem. Ale jak wydawca może ustalić cenę książki, jeżeli nie potrafi przewidzieć, jaki będzie zbyt za granicą? Nasuwa także wątpliwości określenie „wydanie szkolne", dzieła bowiem nazywane tym mianem może kupić każdy. Jak rozwiązać sprawę tłumaczeń oraz antologii, w których mieszczą się pisarze zmarli i żyjący?

Do tych zastrzeżeń, niewątpliwie skomplikowanych, dołączają się wreszcie argumenty mniej zasadnicze, ale bardziej polityczne. A więc, że ustala się nowy podatek od kultury, że jest to pierwszy krok do etatyzacji oraz nacjonalizacji literatury, że państwo, kierujące w gruncie rzeczy kasą literacką, będzie miało wpływ na rozdział stypendiów i na pierwszym miejscu postawi zwolenników rządu; w ten sposób kasa ta stanie się ośrodkiem intryg oraz walk politycznych.

Spór o nowe prawo autorskie, który jest tylko jednym z aspektów trudnego życia we Francji, świadczy, że nie potrafiono znaleźć dotychczas dróg właściwej i racjonalnej polityki kulturalnej, a między innymi rozwiązać zagadnienie zastąpienia dawnego mecenatu możnowładcy, czy potem kapitalisty, przez mecenat państwa. W tych warunkach nie ogół, ale grupa czytelnicza musi wziąć na swe barki ciężar troski o losy pisarza.

NOWE WŁADZE ZWIĄZKU LITERATÓW

Francuski związek literatów, który walczy o nowe prawo autorskie, jest ilościowo silny. Liczy on w swoich szeregach przeszło 900 członków. Podaję tę liczbę na odpowiedzialność prezesa związku, Gérarda Bauera, który nieraz zabierał głos w sporze o „domaine public". Inni dyskutujący mówili o trzech, a nawet pięciu tysiącach, co trzeba położyć na karb niedokładności informacji, zjawisko nierzadkie ostatnio w prasie tutejszej.

W połowie marca dokonano na walnym zgromadzeniu wyboru nowych władz towarzystwa oraz zsolidaryzowano się po wyczerpującej dyskusji ze stanowiskiem zarządu w sprawie opodatkowania tekstów klasycznych. Prezesem na rok bieżący został Maurice Bedel, powieściopisarz, który podobnie jak Duhamel jest z wykształcenia lekarzem.

WIOSENNE NAGRODY LITERACKIE

Niedawno pisaliśmy o jesiennych nagrodach literackich. Właściwie jednak sezon nagród literackich trwa we Francji przez cały rok. Mówi się już zatem dużo o nowych laurach. Niedługo przyjdzie czas na nagrody poetyckie, na nagrodę za powieść awanturniczą lub też powieść ludową, na nagrodę dla pisarza poniżej lat czterdziestu, nagrodę morską, nagrodę aeroklubu francuskiego, wielką nagrodę krytyków etc.

Tymczasem zaś związek literatów przyznał już dwie nagrody literackie. Jedną z nich otrzymał Henri Clouard za pierwszy tom „Historii literatury francuskiej od symbolizmu do czasów dzisiejszych". Historię współczesnej literatury francuskiej wydał już przed czternastu laty René Lalou, również w dwu tomach. Niedawno ukazało się drugie jej wydanie. Nowa próba Clouarda zasługuje na baczną uwagę, jest to bowiem ciekawe, niekompilacyjne studium, oparte na badaniach źródłowych. W przeciwieństwie do książki Lalou znajdujemy u Clouarda mniej tekstów oryginalnych, a za to więcej biografii. Jednakże główny nacisk położył autor na komentarz. Sądy jego są zawsze ugruntowane i uzasadnione, obraz literatury pełny, może nawet za pełny, Clouard bowiem, obawiając się zapewne pominięć, zbyt wiele miejsca poświęca pisarzom pomniejszym. Tom pierwszy obejmuje okres od 1885 do 1914. Czytającego męczy metoda omawiania jednego pisarza w dwóch okresach, przecinania jego twórczości na pół w imię zasady chronologicznej.

Poza dziełem Clouarda pojawiła się niedawno „Historia literatury francuskiej" profesora Sorbony, René Jasinskiego. W ostatnich rozdziałach drugiego tomu znajdujemy również omówienie literatury współczesnej. Studium to ma charakter podręcznika uniwersyteckiego.

Pierwszą nagrodę, ufundowaną przez Związek Pisarzy Dramatycznych, a nazwaną imieniem Corneille'a, otrzymał Paul Raynal za całokształt swojej twórczości dramatycznej. Raynal jest nie tylko dramaturgiem narodowym. Dzieła jego, których ośrodkiem jest człowiek w boju, w miłości czy przyjaźni, wyszły daleko poza granice jego ojczyzny i, jak mówi sentencja jury, „przez swój wysoki ton moralny przyczyniły się do podniesienia prestiżu Francji". Ukazały się one po roku 1933 na nazistowskiej liście dzieł zabronionych w Niemczech. Ostatnia sztuka Raynala „Le matériel humain" (Sprzęt ludzki), napisana w roku 1935 i odrzucona wówczas przez Comédie Française, szła w Paryżu i była największym bodaj wydarzeniem teatralnym w marcu br. Osnuta jest, jak i inne sztuki Raynala, na tle wojny 1914 — 18. W trzech aktach i epilogu opowiada autor fragment z walk na froncie macedońskim i porusza problem dyscypliny.

W związku z dyskusją o nowe prawo autorskie warto by dodać, że francuski związek autorów dramatycznych pobiera od teatrów grających sztuki pisarzy, których prawa autorskie wygasły, opłaty dochodzące nieraz do 12 proc. Dlatego potrafił on zapewnić swym członkom w podeszłym wieku rentę wynoszącą około 100 tysięcy franków rocznie.

ZNIKNIĘCIE „POESIE 48"

Wysoka cena papieru oraz poważnie zwiększone koszty druku sprawiają, że sytuacja czasopism staje się coraz groźniejsza. Nie mogą one utrzymać się samodzielnie i często muszą korzystać z rozmaitych subwencji, co niewątpliwie wpływa na obniżenie samodzielności redakcji. Czasopisma, które chcą utrzymać własną linię, nie mogą w takich warunkach kontynuować działalności.

Na początku bieżącego roku przestał wychodzić miesięcznik poetycki „Poésie 48", który powstał w 1939. Za rządu Vichy czasopismo to, założone i redagowane przez Pierre Seghersa, odegrało ważną rolę historyczną. Wokół tego miesięcznika, w którym pracowali tacy pisarze, jak: Aragon, Pierre Emmanuel i Elsa Triolet, zrodził się ruch francuskiego odrodzenia poetyckiego, krzewiący i podtrzymujący ducha oporu.

Redaktor miesięcznika Pierre Seghers pisze o powodach zamknięcia wydawnictwa, co następuje:

„Dziś, kiedy koszty rosną z dnia na dzień, jest rzeczą materialnie niemożliwą wydawać we Francji czasopismo. Trzeba by za każdym numerem podwyższać cenę pisma. Wobec nowych taryf druku i papieru 42 numer „Poésie 48" musiałby kosztować co najmniej 160 fr. Któż zechce kupić nasz zeszyt za taką cenę, kiedy różne „digesty" sprzedaje się po 25 fr.?

„Poésie 48" nie ma środków na to, by uprawiać „dumping". Gdyby nawet jej takie środki proponowano, odrzuciłaby je. Nasze pismo nigdy nie przyjęło subwencji oficjalnej czy też ukrytej pod tą lub inną postacią. Tak samo nie zna ono ani mecenasa, ani cichych wspólników, ani też wierzycieli. Nasz ruch jest wolny. Wolimy prowizorycznie zamilknąć aniżeli się sprzedać.

Wobec konkurencji kolumn literackich w dziennikach, tygodników literackich, „digestów" formuła miesięcznik („revue") wydaje się nam przestarzała. Nie do nas należy sąd, czy w swoim czasie „Poésie 40—48" była coś warta. Dzisiaj, zamiast biadać nad przeszłością, wolimy wziąć się do szukania nowych formuł".

Zgon tego pięknego miesięcznika jest objawem kryzysu francuskiego przemysłu wydawniczego. Jest to zjawisko symptomatyczne we francuskim życiu kulturalnym doby obecnej.

Sygnalizując upadek „Poésie 48" nie od rzeczy będzie dorzucić, że numer 32 tego miesięcznika poświęcił niemal 30 stron współczesnej poezji polskiej, a i w ostatnim, 41 numerze znajdujemy kilka wierszy Ważyka, poprzedzonych notatką biograficzną. W obu wypadkach przekładu dokonał Jean-Michel Dumarais. Wymieniam to nazwisko, wydaje mi się bowiem, że warto zwrócić uwagę na tego tłumacza, ustosunkowanego na rynku francuskim.

ŚMIERĆ ANTONINA ARTAUD

W pierwszych dniach marca zmarł w zakładzie dla obłąkanych w Ivry poeta francuski Antonin Artaud. W ostatnich tygodniach często słyszało się to nazwisko. Nie dalej jak w styczniu otrzymał on nagrodę Sainte-Beuve'a za książkę „Van Gogh, suicidé de la société". Artaud widzi w tym wielkim malarzu, którego życie było równie tragiczne jak i życie poety, symbol geniusza odtrąconego przez społeczeństwo. W lutym wybuchła dyskusja literacka na temat jego „Pour finir avec le jugement de Dieu", audycji radiowej, odrzuconej przez radio francuskie. Wreszcie w ostatnich tygodniach ukazały się dwa tomy jego poematów: „Le retour d'Artaud le mômo" i „La culture indienne". Ten ostatni utwór, pewien rodzaj epopei fantastycznej, uważa krytyka za jedno ze szczytowych osiągnięć Artauda.

Artaud, urodzony w Marsylii w 1896 roku, rozpoczął swoją artystyczną pracę w teatrze jako uczeń znanego aktora Dullina. Grał także w wielu filmach niemych i w początkowych filmach dźwiękowych. Artaud teatru nie porzucił i później. Pracował w nim jako reżyser.

W roku 1924 spotykamy go obok Bretona. Zakładają oni wówczas „centralę surrealistyczną" na Grenelle. Wielbiciele Artaud twierdzą, że surrealizm całą swą siłę rewolucyjną zawdzięczał temu „poecie przeklętemu". Jak wielu innych i Artaud odszedł potem od surrealizmu.

Utwory Artauda, nieliczne zresztą, są trudne do czytania dla nieprzygotowanego czytelnika. Są to poematy gwałtowne, pełne pasji, polemiki; to krzyki, w których słowa eksplodują. Artaud, zdaniem niektórych największy poeta współczesny, hołduje nieograniczonej wolności. Jest indywidualistą, nienawidzącym wszystkiego, co leży poza jednostką, a więc: rodziny, społeczeństwa, instytucyj, nawet praw naturalnych. Stanowisko takie, skandale wokół jego osoby, wreszcie cierpienia fizyczne, które wycisnęły piętno na życiu umysłowym, sprawiły, że kilka lat przed wojną poeta ten spędził w różnych domach zdrowia i zakładach dla umysłowo chorych, skąd wyszedł dopiero po wyzwoleniu Francji na interwencję Gide'a i Paulhana. Gide we wstrząsających słowach opisuje wieczór poetycki, który miał Artaud w Vieux - Colombier po odzyskaniu wolności. Ta wolność trwała zresztą krótko. Ostatnio przebywał Artaud w zakładzie dla obłąkanych w Ivry. Tam właśnie zmarł. Całe jego życie było tragicznym eksperymentem poetyckim.

Książka, która pozwala nam w pełni poznać Artauda, jest jego „Le théâtre et son double" (Gallimard, 1928).

Stanisław Gogłuska

WEN YI-TUO przełożył CZESŁAW MIŁOSZ

NOC WCZESNEGO LATA

Słońce zachodząc zostawia poetę na łaskę smutnej nocy,
A on jej przypomina: „Ukryte skarby swoje pokaż mi łaskawie".
Fioletowe niebo rzuca połamane perły,
On sądzi że powinno się te perły nizać
Jako ozdobę na pierś białą śmierci.

Zimny powiew pazurami czesze suche włosy wierzb
Wydzierając ich odbicia z sadzawki w drzazgach złota.
Na pagórku garbaty cyprys, powalony,
Czarną kościstą pięścią grozi słońcu.
Bezsenne ropuchy ogarnęło znużenie,
Wiejskie psy szczekają żałobnie, pytająco.
Jak mogą nerwy złodziei znieść napięcie?
Łykając ogień, plując mgłą, smok wchodzi na żelazne schody
Ze słowem „Wojna" wyrytym na szarym mundurze, dziko krzycząc, łkając.
Klekot wielkiego dzwonu pociesza świat
Mówiąc: „Śpijcie w pokoju", ale któż wierzy dzwonowi?
O Boże, widząc do czego doszedł świat,
Czy nie drżysz, o najłaskawszy Boże w niebie?

…owił już ktoś do ciebie: kocham, kocham i ciągnął ze sobą? Miałaś chłopców?

— Miałam... — bąknęła oblewając się rumieńcem.

Wacława spojrzała na nią tryumfująco, wiedziała, że mała kłamie. Jakąż rozkosz sprawiało jej zakłopotanie dziewczynki, prawie dostrzegalna niewinność prowokowała do zgorszenia.

Nachyliła się ku Irce.

— Na każdą to musi przyjść... lepiej bez narkotyków, zanim się zakochasz, samemu chłopca wybrać — to daje wolność. Od razu wszystko wiesz, nie będziesz miała rozczarowań... Powiedz, tak zrobisz?

— Tak — szepnęła pokornie.

— Przypatrz mi się, mogę teraz robić z mężczyznami co zechcę, tak ich trzymam! — Podniosła zaciśniętą dłoń. Stała z lekko rozchylonymi nogami, z piersią naprzód podaną, wyzywająca.

— Pani jest taka ładna...

— Ty też jesteś niebrzydka. Gdy miałam twoje lata... Masz tu kogo? Może Tadka — dręczyła Irkę uporczywym kłamstwem.

— Uhum — mruknęła indagowana. — Ja już muszę... Mamusia kazała mi pomagać w kuchni...

— Szkoda cię do takiej roboty... Ale idź! Będę się mogła wreszcie ubrać... Wpadnij wieczorem...

Irka wymknąwszy się na korytarz poczuła zawrót głowy. Każda z tych rozmów miała w sobie coś zakazanego i grzesznego, aż czuła do siebie obrzydzenie, ale zarazem gdyby mogła, siedziałaby godzinami u stóp Wacławy, pełna podziwu i zachwytu dla jej mądrości. Czasami miała ochotę zapłakać nad swoim poniżeniem. — Pójdę do spowiedzi — myślała — znów będę spokojna jak dawniej. Ale jak iść do księdza Bazylego i wyznawać mu wszystko po kolei, może powtórzy coś Wacławie i będą obie z niej szydzić. Może wszyscy są tacy — kobiety i mężczyźni, którzy już... W takich chwilach nienawidziła świata, a nie mogąc wrócić do czystego dzieciństwa, czuła swoją niewinność jak kalectwo.

— Skończę z tym raz, przynajmniej będę wiedziała... Dawno powinnam to zrobić — zagryzła wargi — potem bluznęła przeciw zmowie dorosłych: — Świnie! Świnie!

Powoli zeszła do kuchni.

Matka drobiła chleb do dużego kubka.

— No, przyszłaś — powiedziała z ulgą — bo już chciałam po ciebie



lokaja posyłać! Myślałam, że tam będziesz wiekować!

— Niech mi mama da kawy! — burknęła. Podparła się łokciami i zapatrzyła w okno. Słońce świeciło ostro, podwórze jaśniało, przestrzeń ponad murem zaczynała drgać. Jak iskry kapały duże krople z dachu, rosła drobna frędzla młodych sopli. Jarzyły się tak, aż zatrzepotała rzęsami.

— Nie będę tego jadła, za gruba pajda!

— Nie grzesz Iruś, nie grzesz! Dziękuj Bogu, że chleb masz!

— Daj jej pani spokój, pójdzie niedługo na własny, nauczy go się szanować — odezwała się znad garnków Walercia. — Niech pani lepiej przypilnuje ognia, a ja skoczę do księdza po śniadaniu sprzątnąć!

Ksiądz Bazyli obijał się po pokoju. Czuł się gościem w hotelu, zajęć miał mało. Chodził więc gwałtownymi krokami z kąta w kąt, furkotał sutanną pętającą mu kolana. Kilka książek, krucyfiks, nie nadawało jeszcze wnętrzu cech zadomowienia. Ten stan trwał już rok blisko. Właściwie był ciągle gościem, od chwili gdy uciekł spod noża i pod opieką Węgrów dotarł do Przemyśla. Parafianie nie żyli, rozproszono ich po całych Niemczech. Czuł się mocno wytrącony życiem z dnia na dzień. Dało by się jeszcze znieść, gdyby nie świadomość, że wszystkie daty jaśniejące nadzieją są złudą, czas rósł jak las, w którym się bezwolny błąkał.

Ksiądz już zaczął porastać w przedmioty, częściowo sam je kupował, zwłaszcza bieliznę, inne były podarunkami. Nie lubił ich, mimo że pochodziły od ludzi życzliwych, a często były dowodem głębokiej wdzięczności. Nie lubił zwłaszcza cennych drobiazgów, które miały mu pokój upiększyć, zbyt mocno przypominały to wszystko, co na starym probostwie gromadził latami i w jedną noc utracił.

— Nie ma o czym myśleć — ucinał machnięciem ręki, a jednak było, było co wspominać... W samotności, jaką u nas zwykle otacza się księży, przywiązał się do przedmiotów, do mebli, starych zegarów, dobrych sztychów. Brakowało mu przyjaznego pokoju, zapachu korzennego, sadu za oknem, czarnej rzeczki w jarze zarosłym leszczyną, tęsknił nawet za pokrzykiwaniem gospodarskim, w które włączał i swych parafian.

Z seminarium wyszedł pełen żarliwości i śmiałych projektów, ale dostawszy się jako wikary do proboszcza schłopiałego, starej daty, chorego na żołądek despoty, który umiał przygasić każdy zapał, nauczył się cenić wygodę i pieniądz. Gdy po starym krewni wbrew prawu wszystko rozdrapali i słyszał jak nieboszczyka obmawiają, pojął raz jeszcze, że świat jest podobny do parkanu, zza którego trudno dojrzeć Boga gorejącego jak słońce. Czasami uda się jednak wyleźć, ale wysiedzieć na szczycie się nie da, łatwiej więc jest wielbić Moc po promieniach łaski, jaśniejących przez szpary. Jest nas dwóch godnych uwagi — Bóg i ja sam. A bliźni... Zebrząca chmara, na próżno się z nimi mocował. Wnet zrozumiał, że dobroć jest zwykle uznawana za oznakę słabości. Był więc w miarę wyniosły, oschły, ale tyle tylko, ile wymagała powaga urzędu i godność, jaką piastował. Jedną miał jeszcze dla świata wadę, był odważny, niektóre jego wystąpienia poczytywano mu za zuchwalstwo, zwłaszcza, gdy przemówił przeciw staroście, ujmując się za chłopami.

Szanowano więc księdza, ale nie lubiano, nie grał w karty, nie pił wiele, słabości nie tylko rozgrzeszają wzajemnie, ale i zbliżają biesiadników. Skromne życie, zbieracka, niezrozumiała namiętność, zwłaszcza że się przyznawał do pomyłek, kupował nieraz przedmioty na pozór bezwartościowe, ceramikę ludową; skorupy — jak mówiono pogardliwie, zraziły mu wielu sąsiadów. Po trosze unikano go, wzywano rzadziej niż lekarza, najchętniej ograniczano spotkania do neutralnego miejsca, jakim był kościół. Przy każdej próbie zbliżenia, w tych kilku domach, gdzie można było porozmawiać, szukano przyczyn jego przyjazdu w sferze bynajmniej nie towarzyskiej, dopatrywano się niskiego wyrachowania. Może tu zawiniła pokutująca jeszcze legenda o chytrości dawnego proboszcza.

Spełniał swoje obowiązki kapłańskie z gniewną pasją. Dławiła go monotonia upadków, trudno mu było poruszyć serca chłopskie, przecież życie dla nich było jednak życiem w grzechu. Zgodnie z porami roku wiosną zwyciężała nieczystość, a jesienią po pierw-



szym omłocie zaczynały się pijaństwa i bójki.

Próbował na wzór Liskowa założyć spółdzielnię, zorganizować pomoc lekarską, ale wszystko rozlazło się po kilku zebraniach, pełnych pobłażliwego potakiwania jego gorącym wywodom. Nikt jednak pieniędzy nie zaryzykował.

Nie mogąc odcisnąć śladu swej ręki na wiosce, nie mówiąc już o sumieniach ludzkich, zwątpiwszy w pamięć życzliwą, postanowił, stając się jednym z wielu, wziąć sobie kogoś na wychowanie. I tym razem źle trafił, chłopak miał charakter spaczony, był tchórzliwym kłamcą, wreszcie okradł swego dobrodzieja i uciekł do Rumunii.

Tak skończyło się skryte marzenie o zastępczym ojcostwie. Myśl ta jednak powraca mu i dziś jeszcze, tkwi uporczywie jak drzazga. Chciał już wybrać jedno z dzieci, może nawet małego Włodzia Aniserewicza, mimo że w jego zdrowym ciele widok kalectwa chłopca budził tłumioną odrazę. — Ten przynajmniej nie wyciągnie ręki, żeby mnie okraść — przemknęło mu — taki się łatwiej przywiąże...

Przerzucany z miejsca na miejsce, nie zaczynał ksiądz Horbaczewski żadnych prac, mimo że przywiązał się do Suchowód, uważał zamek jedynie za kwaterę. Drążyło go uczucie czczości... Na ten stan trafiła Wacława. Lgnął do niej. Była jedynym człowiekiem w tym domu, który się nim zajmował jak równym, niemal pomijała jego godność pomazańca. Czuł się przy niej dobrze, była w miarę swobodna z tym starzejącym się, niespokojnym mężczyzną.

Gdy usłyszał pukanie, poruszył się żywo: — Proszę! — zawołał. Zaraz uśmiech powitalny zgasł, bo do pokoju wtoczyła się ze szczotką Walercia.

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki... — odpowiedział. Natychmiast powróciło dręczące go od wczoraj pytanie — co się tym ludziom ubzdurało, żeby na mnie skargę pisać? — Mimo woli umieszczał Walercię pomiędzy oskarżycielami, lub ich złośliwą głupotę w niej osadzał. Odkąd Wacława zaczęła się nim zajmować, nawet życzliwa troska Walerci o jego wygody i żołądek drażniła go nieznośnie...

(Dalszy ciąg nastąpi)

SZTUKA DLA DZIECI i MŁODZIEŻY

STYL GROTESKOWY W ILUSTRACJACH DLA DZIECI

W książkach dla dzieci szczególnie często porusza się tematy śmieszne i wesołe. Dziecko lubi się śmiać i powinno być raczej wesołe niż poważne. Dobra literatura dla dzieci rozbudza i krzewi w nich radość życia

Ilustracje do wesołych książek muszą być zabawne i przyjemnie śmieszne. Dziecko ma się cieszyć zarówno rycinami jak i tekstem, który one ilustrują.

Grafika posiada własne sposoby wesołego i śmiesznego przedstawiania rzeczy i zdarzeń. Najważniejszą rolę w grafice ilustracyjnej odgrywa przedstawienie rzeczy **karykaturalne** lub **groteskowe**.

Celem karykatury jest ośmieszanie faktów i osób na to zasługujących, jak też ośmieszanie w ogóle. Groteskowe przedstawienie dąży raczej do uwypuklenia takich cech zjawisk, zdarzeń i osób, dzięki którym mają one już z natury coś rozweselająco — śmiesznego. Karykatura w sposób mniej lub więcej złośliwy, a co najmniej uszczypliwy, wydobywa na jaw grzechy, wady, ułomności i śmiesznostki ludzi. Ilustracje w książkach dla dzieci są często słusznie groteskowo-śmieszne, nie powinny być jednak karykaturalnie śmieszne.

Licha groteskowa grafika w książkach dla dzieci tworzy groteskę rysunkową po linii najmniejszego oporu, według bezmyślnych a tradycyjnych przepisów kucharskich. Wystarczy narysować dzieci lub zwierzęta o głowach wielkich jak arbuzy, z malutkim korpusem i wątłymi kończynami, podobne do potworków i przedwcześnie urodzonych płodów. Wystarczy narysować twarze o wielkich nosach, ogromnych uszach i głupkowatym uśmiechu, twarze dziwacznie powykrzywiane i postaci niespokojne, przesadnie gestykulujące. Czy właśnie to — dlatego że jest dziwaczne i wynaturzone, nieumiarkowane i karykaturalnie przesadne, nieestetyczne i niesmaczne — ma być tym samym rozweselające i zabawne? W książkach dla dzieci roi się od takich dziwolągów.

Chłopiec i dziewczynka na podanej ilustracji, to nie dzieci, ale potworki o ruchach teatralnie przesadnych. Dzieci te zachowują się w sposób niewątpliwie śmieszny, lecz błazeńsko — niesmaczny, a twarze ich stroją okropne miny.

Groteska w znaczeniu ujemnym przesuwa akcent w kierunku karykatury, bo w swej płytkiej przesadzie i nieumiarkowanym przejaskrawieniu niesmacznie ośmiesza to, czym się dzieci powinny cieszyć i radować.

Szczególnie nielitościwie obchodzą się ilustratorzy bajek dla dzieci z biednymi krasnoludkami. Ten typ groteskowych rysunków wzoruje się na filmach rysunkowych. Ale na filmie różne rysowane potworki przynajmniej żyją i w ruchu się przekształcają. Styl groteskowych filmów rysunkowych, który narzuciła Ameryka smakowi własnej i europejskiej publiczności, na pewno się wkrótce przeżyje. Film rysunkowy produkcji amerykańskiej, posługując się szablonową deformacją postaci ludzkich i zwierzęcych, choć zdumiewa, estetycznie przestaje zadowalać. Najlepsi nasi graficy, ci właśnie, którzy rysują najładniejsze ryciny w książkach dla dzieci, powinni tworzyć groteskowe filmy rysunkowe w podobny sposób, jak to czynią w książkach

W latach powojennych stały się u nas szczególnie modne groteskowe bajki dla dzieci (Brzechwa, Minkiewicz i inni). Ryciny do bajek groteskowych oczywiście powinny być groteskowe. Istnieje specjalny kunszt groteskowego rysunku w znaczeniu dodatnim i jemu poświęcimy z kolei nieco uwagi.

Jest różnica między zwykłą dowcipnie ośmieszającą karykaturą, a wartościową pod względem artystycznym ryciną groteskową, jak jest różnica między prymitywnym — choć umiejętnie rozśmieszającym — dowcipem, a dowcipem niepozbawionym pewnego smaku i artystycznego wdzięku. W ilustracjach do „Rzepki" Tuwima (do wydanej przed wojną książki „Lokomotywa") układ barwnych rycin i ich kompozycja są artystycznie doskonałe. Gdy groteskowość tego łańcucha osób ciągnących rzepkę rozśmiesza nas i bawi, subtelność zestroju barw i lapidarność kształtów, doprowadzonych do groteskowej — a zarazem estetycznej esencji — nas cieszy. Do wesołości i ubawienia na widok tych ilustracji dołącza się zatem szczera radość estetyczna.



Przykład złej ilustracji



Przykład dobrej ilustracji Eryka Lipińskiego

Wśród bajek groteskowych, wydanych po wojnie dla dzieci z ilustracjami, na szczególne wyróżnienie zasługują niewątpliwie „Ptasie plotki" Brzechwy, z barwnymi rycinami Eryka Lipińskiego. Na pierwszych stronicach tej książki, znajdzie czytelnik groteskowe obrazki kolorowych ptaszków na drzewie — ptaszków z kapelusikami, szalikami, fartuszkami, okularami, parasolkami, telefonami, narzędziami stolarskimi, co już samo przez się jest groteskowe i śmieszne. Te ludzkie akcesoria nadają im wygląd ludzi przebranych na balu maskowym za zwierzęta. Ale ptaszki są kolorowe i śmieszne, jak zabawki. Mają też bardzo śmieszne minki i każdy wygląda inaczej i inaczej szczebiocze. Groteskowość tych ptaszków, nie rażąca estetycznie, jest raczej wdzięczna i nie tylko do śmiechu pobudza. Ilustracja w stylu groteskowym powinna być ładna, nie tylko śmieszna.

Stefan Szuman

Z NOTATNIKA ILUSTRATORA

I

Wyłom zrobiła „Lokomotywa". Wyjście poza marginesową iluminację, poza konwenans winiety, inicjału i całostronicowej planszy nie było łatwe. Najtrudniejszy bodaj do przełamania był konserwatyzm wydawców, ale Lewitt — Him zaryzykowali, robili książkę rok, wydrukowano ją techniką foto-offsetową na siedem kolorów. — „Lokomotywa" olśniła zarówno świetnością nowej formy graficznej, jak i związaniem wyrazu plastycznego z tekstem, ilustracja nadążała za biegiem wiersza, podkreślała dotąd niewyrażalny rytm. —

To, co się stało później na „rynku" książki dziecinnej, było rozwinięciem tez zawartych w „Lokomotywie"; — tylko nie każdy ilustrowany utwór był wierszem Tuwima, nie każdy nastręczał takie możliwości efektów plastycznych. Nowa zasada polegała na rozbiciu kolumny druku elementami plastycznymi, rozsypaniu po stronie układowych fragmentów, tworzących całość graficzną dopiero w zestawieniu z następnymi stronami. Jednym słowem ilustracja zaczęła wędrować po książce, zburzyła dotychczasową statykę kolumn i wklejanych obrazków. — Powstaje paradoksalna sytuacja. Ilustrator rozporządzający nowymi środkami wyrazu — poszukuje autora, dobrego scenarzysty. Ale autorzy są oporni, piszą jak dawniej o „krasnoludkach", lub opierają swoje koncepcje na żarcie słownym, nie mającym odpowiednika plastycznego.

I tutaj w wielu wypadkach ilustrator bierze w ręce inicjatywę, nadbudowuje scenerię, której autor nie przewidział, komponuje językiem plastyka książkę o niezależnym od tekstu nurcie.

Rozpoczyna się okres rywalizacji autora i plastyka, okres, który musi się nieuchronnie zakończyć porozumieniem, uzgodnieniem współpracy przy powstawaniu książki, zróżniczkowaniem stylu wyrazu literackiego i plastycznego. I nie tylko stylu, ale roli i kolejności przemawiania.

Rytm „Lokomotywy" przy całym bogactwie wyobrażeń był rytmem jednostajnym, ciężar plastyczny kolumn nie narastał, wiersz i grafika postępowały strona po stronie miarowym stukotem pociągu. Ale są utwory nie oparte na tak zwartym rytmie, wymagające innych jeszcze rozwiązań, są nowe rozwiązania formalne oczekujące utworów.

Jeśli zadamy pytania: Po co właściwie opowiadać ilustracją to, co już zostało napisane? Po co opisywać to, co widzimy? — stanie przed nami zadanie zbudowania takiej książki, w której autor i plastyk uzupełniliby się, nie powtarzając tych samych myśli różnym językiem.

Stworzenie takiej książki jest możliwe, ale nie jest łatwe. — Przede wszystkim musimy zapomnieć o terminie „ilustrator", którego zastąpi współautor — plastyk. — Ten autor — plastyk może pokazać, gdzie i jak się akcja rozgrywa jednoznacznie, może pokazać szczegół, stanowiący o nastroju całości, szczegół, którego opisywanie zatrzymałoby bieg utworu, obciążyło narracją opisową. Są zresztą sposoby wyrażania właściwe każdemu rodzajowi sztuki, nie pokrywające się i nie znajdujące analogii. Do nich będzie należało narastanie form, powiększanie się ich przestrzenne, przejście z jednej tonacji w drugą, wzbogacanie gamy kolorystycznej. Oczywiście dla słów „smutno mi" nie znajdziemy odpowiednika w znakach graficznych, ale „świat zszarzał" może się stać podstawą do nowej wizji, wcale niebanalnej.

Idzie o to, żeby „ilustracja" przestała być zagadnieniem marginesowym, które dołącza się do już gotowego utworu. Idzie o znalezienie nowych punktów widzenia. —

Książka dla dziecka łączy w sobie dwie różne rzeczywistości. — Skonfrontowanie ich należy skomponować świadomie

— Gdy słowa milkną — przemawia obraz, to byłaby pierwsza teza.

Obrazy widziane przez postaci utworu nie są identyczne. Świat widziany oczami smoka, będzie różny formalnie od świata widzianego oczami myszy. Czyż ilustrator ma pozostać obojętnym świadkiem wydarzeń i przeżyć?

Walka o nową książkę jest poszukiwaniem „wielości rzeczywistości", jest obaleniem schematów i zasad prawd bezwzględnych.

Jan Marcin Szancer

HANNA JANUSZEWSKA

KOŁYSANKA

— Modre to okienko, modre, matko moja, a od czego?

— To od nieba, mój syneczku, od nieba. Od nieba dalekiego.

— Złote to okienko, złote. Zda się, matko, od złota błyszczące

— Słońce świeci nań, syneczku. Świeci nad nim słońce.

— Szare to okienko, szare. W mgławym, matko, szarzeje obłoku.

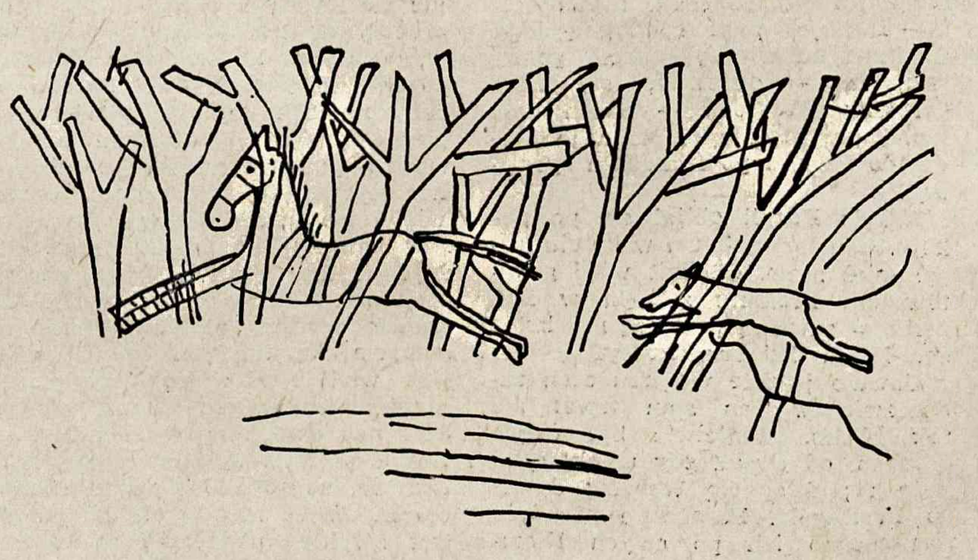
— To od mroku, mój syneczku miły. To od mroku.

— Czarne to okienko, czarne. A na czerni srebrnych pyłów roje.

— Noc to, synku miły, noc gwiaździsta ponad domem, ponad światem stoi.

— Gorze to okienko, gorze! Ogień, matko! ktoś ogień podłożył!

— Śpijże. Nic nie grozi. Cisza wokół... To od zorzy, od porannej zorzy.





Rysunki siedmioletniego Adama Kuśnierz

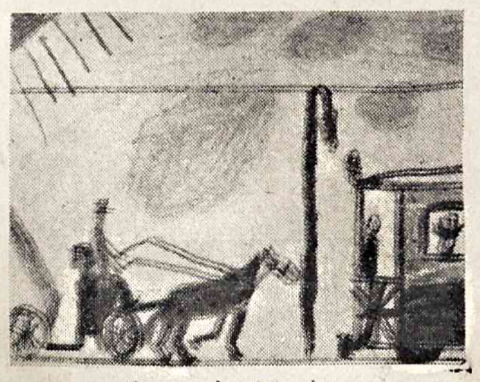
PRZYJACIELE ZWIERZĄT

Z tymi zwierzętami w książkach dla małych ludzi nie wszystko jest w porządku, a nawet sprawa wygląda nieco żenująco. Bo spójrzmy. Niech się tylko na rynku pokaże książka zawierająca wierszyki o wysokiej wartości artystycznej, ozdobiona ilustracjami w pięknych, „złamanych" barwach i niech na jednej z tych ilustracji stoi przy tablicy nauczycielka o nieco skarykaturowanej fizjonomii, zaraz znajdzie się ktoś, kto uzna, że niepedagogicznie jest przedstawiać nowoczesną „siłaczkę" jako wiedźmę o jednym zębie. I — będzie w tym dużo racji. Dlaczego nikt jednak nie wystąpi w obronie poniżanych i karykaturowanych w książkach dla dzieci zwierząt? Dlaczego nikt nie zaprotestuje przeciw nadużywaniu hasła „kochajmy zwierzęta", szerzącego jałowy, sentymentalny filantropizm w stylu poczciwego Bełzy? — przeciw przebieraniu zwierząt w ludzkie stroje jedynie gwoli pouczenia i zabawienia „naszych milusińskich"? Dlaczego nikt nie ujmie się za słoniem, którego wycieniowano na różowo, nazwano „Soniusiem" i przylepiono mu uszy w kształcie trąby staroświeckiego gramofonu, ani za czerwoną w białe grochy krówką, która „daje dużo mleka, na pożytek dla człowieka", ani za kaczką z dziobem, jak kalosz, ani (trudno, trzeba i to powiedzieć, choć Matołek ma już swoją tradycję) za tym ubranym w czerwone portki koziołkiem z pyskiem starego blagiera? Czy Towarzystwo Przyjaciół Zwierząt nie ma nic do powiedzenia w sprawie tego poniżania zwierzęcej godności, która — mówiąc po prostu — poszła na handel, gdyż takie książki o zwierzętach pisze się najszybciej i są one niemal tak samo „kasowe" jak te o „krasnalach". Czy rzeczywiście trzeba wracać do Dygasińskiego czy Rosinkiewicza, lub przepływać kanał La Manche, by odnaleźć Milne'a i Löftinga, prawdziwych przyjaciół zwierząt?

Tak źle na szczęście nie jest. Wśród książek nowych i przypomnianych z ostatnich lat przedwojennych możemy znaleźć kilka, a nawet kilkanaście, których autorzy nie tylko traktują zwierzęta w sposób humanitarny, ale tworzą k o n c e p c j ę zwierzęcego świata, wprowadzają dziecko w swoistą a t m o s f e r ę z pogranicza prawdy i fantazji, pozwalają mu podobnie przeżywać losy zwierząt, jak losy bohaterów ze świata ludzi.

Takim bohaterem jest zajączek **Feliks, „król wiewiórek"**, bliski powinowaty Kubusia Puchatka. H. Mokrzycka na użytek Feliksa oraz innych zamieszkujących las zwierząt stworzyła jakby małe miasteczko nazwane Zieloną Polaną, której, zamieszczony na pierwszej stronie, widok z lotu ptaka od razu wprowadza czytelnika w swoisty klimat zagospodarowanych osiedli i zaznajamia z siecią dróg i ścieżek, świadczących o utrzymywaniu stosunków sąsiedzkich. Feliks, kum Marcin i Ciocia Agata nie są wykładnikami tego, co trzeba o zwierzętach w i e d z i e ć; są to postaci, posiadające wprawdzie pewne umowne cechy zająca, kaczora i gęsi, przeżycia ich jednak — wyrażone językiem ludzkich pojęć, są całkowicie zindywidualizowane, co sprawia, że każde z tych zwierząt przemawia żywo do wyobraźni dziecka, które się do nich przywiązuje i wraz z nimi przeżywa zabawne i miłe przygody, budzące dreszcz emocji i kończące się happy-endem. Wartości dodatnie i ujemne takich czy innych poczynań wynikają z toku akcji, nie z założonego z góry systemu moralnego, przezierającego z bezpośrednich wypowiedzi. Rysunki Wielhorskiego — zwłaszcza w drobniejszych partiach — nie ustępują w niczym ilustracjom Sheparda. Szkoda, że tych wszystkich pochwał nie można powtórzyć pod adresem „Kaczki Kwaczki" — tej samej autorki — zręcznym wierszykiem pisanej historyjki, pozbawionej jednak zupełnie czaru poezji i ilustrowanej niżej krytyki.

Osobną i utrwaloną pozycję przyjaciela zwierząt zdobył sobie Grabowski swymi doskonałymi opowiadaniami, z których wznowiono ostatnio „Skrzydlate bractwo" i „Europę". Grabowski pisze o zwierzętach ze wzruszającą, maskowaną humorem serdecznością; postawą tą przypomina żywo Makuszyńskiego, lecz nie w „Przygodach Koziołka", w takich choćby partiach: (Pies) „Duszek potrafił zjeść filcowy kapelusz, nowe pantofle, dwa najgrubsze tomy encyklopedii, a była to dopiero zakąska, po której szła włosiana wycieraczka i szczotka do butów". Rzeczą godną podkreślenia jest fakt, że stosunek Grabowskiego do zwierząt jest prawdziwie d e m o k r a t y c z n y. On sam i wszyscy jego bohaterowie miłują najbardziej zwierzęta pospolitej rasy, gdyż są one wierne i mądre, natomiast psia arystokracja, jak ta „opluta, zasapana udyplomowana nadętość Lorda-buldoga" — jest niemal synonimem głupoty, tchórzostwa i braku poczucia humoru. Grabowski najwięcej miejsca poświęca współżyciu ludzi ze zwierzętami, przy czym dostrzega raczej u zwierząt skłonności despotyczne, a u ludzi — miękkość serca i uleganie ich kaprysom. Jeśli się można posłużyć tym paradoksem — Grabowski raczej animizuje ludzi, niż antropomorfizuje zwierzęta. Ze szczególną też satysfakcją obala wszelkie przesądy o antagonizmach międzyzwierzęcych, ukazując np. wzruszającą komitywę między kotem i psem, krukiem i psem, gęsią i kotem. Autor rozumie mowę zwierząt prawie jak Dollitle i podobnie jak on traktuje je poważnie i ze wzniosłym idealizmem.



Rysunek dziecka

Do rodziny przyjaciół zwierząt należy także Józef Bieniasz, który w swej opowieści „Turul", nawiązując jakby do tradycji Baśki Murmańskiej — odtwarza prawdziwe dzieje niedźwiadka chowającego się wśród ludzi, choć tutaj historia kończy się szczęśliwie. Stosunki między człowiekiem i zwierzęciem naświetla autor realistycznie, nie przecenia trwałości łączących ich związków i nie zaciera dzielących ich odrębności, ukazując czytelnikowi losy Turula, podąża za nim nawet tam, gdzie nie śledzi go człowiek i dla odtworzenia sposobu jego odczuwania, posługuje się umownym, „ludzkim" językiem. Przygody niedźwiadka budzą współczucie i sympatię.

Ten sam autor zupełnie inaczej traktuje zwierzęta w opowieści „Przygody wilka Gagatka". Jest to groteskowa i niesamowita historia, w której postaci zwierząt potraktowane są jak w bajce alegorycznej, a równocześnie owiane nastrojem grozy jak w opowieściach romantycznych osnutych na motywach ludowych. Fabuła opiera się na prześciganiu się ludzi i zwierząt w najbardziej wymyślnych oszustwach, na najbardziej pomysłowym wyprowadzeniu wszystkich w pole. Lektura budzi wiele filozoficznych refleksji na temat etyki ludzi i zwierząt, w żadnym jednak wypadku nie jest odpowiednia dla dzieci

Na zakończenie warto poświęcić parę słów nowej książce Marii Kownackiej „Mysz pod miotłą". Nie jest to opowieść o zwierzętach, choć odgrywają tutaj ważną rolę, w szczególnie świeży i nowy sposób. O ile drukowana w „Płomyczku" wesoła historia tej samej autorki o bocianie Kajtku (wydana obecnie w książce „Kajtkowe przygody") daje właściwie przegląd czynności gospodarskich, których poczciwy bociek jest obserwatorem i uczestnikiem, nie bohaterem — o tyle tutaj autorka kilkoma charakterystycznymi rysami umiała naszkicować postaci zwierząt, czyniąc je bliskimi dziecięcemu odczuwaniu. Treść króciutkich opowieści oparta jest na motywach ludowych — podobnie jak u Rogoszówny i Porazińskiej — ściślej mówiąc — na pogwarkach i powiedzonkach wybranych „ze skrzyni polskiej mowy" — jak pisze autorka. Kownacka obrała inną drogę ukonkretniania tych powiedzonek niż Brzechwa — nie przez słowne dowcipy — ale przez prawidłowo rozbudowaną i powracającą do punktu wyjścia akcję. Widzimy więc, jak królewna Grymasela każe dla fantazji „zaprząc wołu do karety" i jak robocze instynktem wiedzione zwierzę zbacza na orne pola, jak kura pisze patykiem ładniej niż dzieci w szkole, jak mysz schowała się pod miotłę. Za każdym razem zwierzęta dowiadują się od ludzi, jakie to dziwne krążą o nich przysłowia i próbują zastosować je w życiu, by się przekonać, że jest w nich mądrość, która się musi potwierdzić, że już tak los zrządził, iż kura się nie zna na pieprzu, pies siedzi pod płotem, a kot na płocie, że mysz pod miotłą może znaleźć najlepsze schronienie. Pomysł wykonany szczęśliwie, żywym wierszem, pozbawionym łatwizny rymowania. Rysunki zwierząt — doskonałe, co nas najbardziej interesuje, jeśli zaś idzie o przedstawienie ludzi, niektóre z tych rysunków — szczególnie te staroświeckie — to małe arcydzieła, inne — zwłaszcza córka Ambrożego oraz (znowu!) wiejska nauczycielka — wybitnie nieprzyjemne. Autorka kończy książkę wezwaniem do dzieci, by gromadziły ludowe powiedzonka, spisały je rządeczkiem na papierze i ogłosiły konkurs „Kto więcej pogwarek zbierze". „To bardzo piękna zabawa i wiele trudu warta, a skrzynia z polską mową — dla każdego otwarta".

A może tak w imieniu nie umiejących upomnieć się o swe prawa zwierząt, ich przyjaciele ogłosiliby konkurs na najpiękniejszą o ich życiu książkę?

Krystyna Kuliczkowska

MARIUSZ MARGAL

Spacerem po Brukseli

Na mapach jest tylko jeden punkt i jedna nazwa, ale w rzeczywistości ten punkt zawiera w sobie kilkanaście różnych miast. Ich stopniowy rozwój zetknął je z sobą i zespolił w jedno, choć każde z nich zachowało po dziś dzień odrębność charakteru i wyglądu. Te miasta zwą się w mowie potocznej i administracyjnej gminami, „communes". Właściwie Bruksela, choć dała swą nazwę całej reszcie — jest tylko jedną z nich. Centralną. Uwięziona w murach o prawie regularnym kształcie koła przyciągała w swoim kierunku sąsiednie miasteczka, aż się z nimi spotkała granicznymi ulicami. Otoczona przez nie i zamknięta, rozrosła się narzucając swoją nazwę i zagaszając sławę prześwietnych grodów brabanckich: Uccle i Saint Gilles.

Dziś murów już nie ma. Zastąpiło je zielone koło szerokich alei, które granicą właściwej Brukseli i zowiają poza sobą dwa przeciwległe bieguny: Gare du Nord i Gare du Midi. Przecinając Brukselę na dwie części łączy te dwa dworce wielki bulwar, podzielony trzema nazwami który zblazowanym turystom, kawiarnianym dziennikarzom i podróżnym w pośpiechu zmieniającym dworce — wydaje się symbolem miasta.

Częściowo może i słusznie. Bo ten bulwar, który zaczyna się na południu jako Boulevard Maurice Lemmonier przez środkowy odcinek o nazwie Anspach kończy przy Dworcu Północnym imieniem bohaterskiego mera Brukseli, Adolfa Maxa, jest wystawą belgijskiego bogactwa. Tak, Belgia jest bogata i tu właśnie, na tym bulwarze, kusi cudzoziemców antwerpską biżuterią i genewskimi zegarkami, angielską konfekcją i amerykańskimi nylonami, francuskimi kosmetykami i holenderską czekoladą, prawie nieograniczoną obfitością. Wieczorem bulwar zapala się migającymi kolorami neonów, których ruchome strzałki zapraszają do kin, reklamują wielkie hotele i filuternie mrugają nad wejściem do kabaretu lub kawiarni. Z ciemności wyskakuje co chwila neonowa margaryna „Seta", świecą się wieczne pióra, kolorowymi liczbami swoich kapitałów banki wmawiają przechodniom pewność. Światła zapalają się i gasną oszałamiając cudzoziemca, jeśli po raz pierwszy zawitał do stolicy tego małego kraju, który także przeszedł okupację. Najwięcej jest teraz Francuzów. Z zazdrością wchłaniają bogactwa zza wystawowych szyb, myśląc o surowej kontroli celnej, która uniemożliwia próby przewiezienia żywności do Francji.

Belgowie nie przejmują się zbytnio, nie znają się, nie chcą się znać, nie myślą o polityce, wierzą, że Belgia nadal pozostanie wyspą wszelkiego bogactwa w wyniszczonej Europie. Życie toczy się normalnie. Belgia wciąż jest krajem, w którym ustawione na ulicach i dworcach czynne automaty wyrzucają za 1 lub 2 franki tabliczkę czekolady albo pudełko dobrych papierosów. Najwięcej tych automatów stoi oczywiście obok wielkiego gmachu giełdy przy bulwarze Anspach, bo tu nieprzerwanie pulsuje masa ludzka, bo tu podjeżdża najwięcej aut, bo tu jest największe w Brukseli nasilenie ruchu. Między tymi automatami niknie nieśmiało umieszczony przez jakąś instytucję charytatywną trójnóg, na którym uwieszony jest kociołek z napisem „Pour les pauvres". Ale tego kociołka i tak nikt nie zauważa w tym bezustannym hałasie i pośpiechu, zresztą tu nie ma biednych. Na razie nie widziałem ich jeszcze.

Tuż za olbrzymim gmachem giełdy, który dominuje na wielkim bulwarze, stoi kościół na prawo zaczyna się rue du Midi, by dojść aleją Stalingradu do Południowego Dworca, na lewo, w kierunku Dworca Północnego biegnie rue Neuve. Ale rue du Midi jest ciekawsza, jedyna chyba w Europie ulica filatelistów. Zza szyb sklepów ze znaczkami, bo nie ma prawie innych na tej starej ulicy, patrzą Hitlery różnych wartości, zadrukowane wolnościami rozmaitych państw, wyziera historia Ameryki, kultura Rosji, podboje Niemiec, sporty Finlandii, pejzaże Francji. Przez cały świat kroczy się chodnikami ulicy Midi, tylko Polski brak na tych wystawach. Na znaczki polskie nie ma popytu. — Nie mamy do nich zaufania — mówił mi jeden ze sprzedawców — bo pisma fachowe przynosiły nam wiadomości o bezpośrednim odsprzedawaniu znaczków spekulantom, a w rzeczywistości wiele z nich nigdy nie służyło do frankowania listów. Poza tym znaczki polskie nabierały spekulacyjnego charakteru wskutek kolosalnych dopłat przekraczających wielokrotnie cenę nominalną i wreszcie — nie są ładne. Nie przyciągają. Nie przemawiają. Pokazał mi znaczek wydany z okazji święta morza (3 zł. + 7 zł.), znaczek wydany na cześć poległych w Gdańsku pocztowców (3 + 12 zł.), serię pięćdziesięciolecia ruchu ludowego (5+10 zł.) i jeszcze inne, które tak rzadko widziało się na poczcie, i przyznałem mu rację. Prawda, to była mania lat dziecięcych, owa filatelistyka, rozkoszne zajęcie sztubaków wszystkich szkół; ale z niej dowiadywaliśmy się o istnieniu Tannu-Tuwy, Seychelli, Njassy czy Costa Riki. Znaczek pokazywał świat i uczył. Dziś stał się umowną wartością, kapitałem, wkroczył w granice spekulacji zbieraczy i poczt. Niemniej przyciąga, a dlaczego to znaczek polski miałby słabiej zwabiać klientów rue du Midi niż znaczek wysp Bermuda?

Z rue du Midi na Grand'Place jest zaledwie kilka kroków. Te kilka kroków to przeniesienie się w inną epokę i czas, bo na Wielkim Placu jest średniowiecze, jedno z najpiękniejszych w Europie. Gotycki ratusz z jednym skrzydłem dobudowanym znacznie później mieści po dziś dzień archiwa miejskie i wiele biur; jedno z nich zajmuje się turystyką. Stary Flamandczyk zna na pamięć historię każdej rzeźby, którymi pokryty jest ratusz, dzieje lekkiego i wyniosłego „Maison du Roi" i każdego domu; pamiętają one wspaniały rozwój brukselskiego mieszczaństwa i gildie. Dziś w tych domach pracują urzędnicy związków zawodowych lub banków, które się tu umieściły, na parterze przeważnie są bary, ale jak różne i mniej miłe niż paryskie bistro. Kilku przewodników oprowadza nielicznych turystów, którzy z aut oglądają początek Brukseli, aby zaraz pojechać dalej. A przecież tuż obok wąskimi wcięciami między pochylonymi domami można wejść w starusieńkie zaułki, jedyne, które przypominają dzieje brabanckiej stolicy. Korte Beenhouwenstraat — Krótka Ulica Rzeźników, ślepy zaułek Schudenweldgang, ulica Mięsa i Chleba, ulica Rynku Skóry, ulica Jednej Osoby. Rzeczywiście, dwie osoby nie przejdą obok siebie tą uliczką, na której dwa czarne diabły z dykty obwieszczają istnienie zupełnie niepotrzebnego tu kabaretu „Pod Piekłem". Widocznie jednak nie ma zbyt wielu gości, bo piekło jest otwarte i puste — nie można podjechać tu autem.

I to jest wszystko. Więcej zabytków nie ma w całym mieście, jeżeli warto coś jeszcze zobaczyć, to chyba Mannequin Pis, siusiającego chłopczyka na rogu rue de Chêne i rue de l'Etuve, gdzie kiedyś stała publiczna łaźnia, jak głosi tabliczka na murze. Mannequin Pis jest dziś nagi, bo nie ma święta i nie musi włożyć któregoś ze swych siedemnastu mundurów siedemnastu formacji i pułków, których jest honorowym członkiem za pogardliwe siusianie wobec wroga podczas każdej z wojen. Siusia więc sobie dziś nago i beztrosko prosto w licznych tu zawsze cudzoziemskich gapiów zdziwionych tą szczerą symboliką brukselskiego mieszczaństwa: siusiam bodaj na cały świat, byle mi było wygodnie i przyjemnie. Koło posążka dwa sklepiki, w których zawsze rojno. Handlują tym siusiającym chłopczykiem i dobrze im się powodzi. Zawsze znajdują się kupujący pocztówki Pisa ze sprośnymi wierszykami we wszelkich możliwych językach, fotografie Pisa, statuetki lub książeczki z legendarną historią jego powstania.

Z Wielkiego Placu można pójść także do Galerii Króla i Galerii Królowej, które pod oszklonym dachem zaprowadzą wzdłuż szeregu bogatych sklepów na plac Św. Guduli i pod park królewski. Park jest płaski i brzydki przez swą sztuczność i symetrię. Od parku odrywa się ulica Prawa rue da la Loi i prowadzi aż do Etterbeek, równie sztucznego i brzydkiego parku Pięćdziesięciolecia, rozplanowanego tu w pięćdziesiątą rocznicę istnienia królestwa. Tą samą drogą można się dostać do muzeum sztuki Konga, ale to muzeum jest daleko, zresztą tam się nie mówi o uranie, więc z rzadka zwiedzają je dziennikarze i cudzoziemcy. Koło parku stoi Pałac Króla, przed pałacem warta sztywnie pilnuje wejścia, chociaż król zmienia właśnie Salzburg na Hawanę. Belgia wciąż jest jeszcze królestwem i wciąż olbrzymi, wielkością równy Brukseli, piękny, dziki, królewski Parc de Laeken z zamkiem, zabudowaniami, stawami i zwierzyną — czeka powrotu władcy po drugiej stronie rzecznego portu. Belgowie interesują się jednak o wiele mniej zagadnieniem królewskim, niż można by było przypuszczać. Gdzieniegdzie, co prawda, bieleje na murze żądanie abdykacji, ale równie często, tj. równie rzadko, można wyczytać jakieś „Vive le roi!" Król nie obchodzi większości Belgów. Król, to polityka, a do tego są politycy, żeby politykę robili. Każdy ma swój zawód i musi go wykonywać, by w jego kraju, w jego gminie był dobrobyt, by w jego mieszkaniu było dobrze. Niech będzie król, niech nie będzie króla — olbrzymia większość pozostawia to obojętnie politykom, bezmyślnie idąc za dyrektywami partii lub za radą „lepiej" zorientowanych znajomych. Aby tylko w moim kraju było dobrze! — Mało mnie obchodzi, co się dzieje poza nim. — Aby tylko w moim mieszkaniu było dobrze! Już sąsiad żyje za murem obojętności i niewiedzy, jeżeli w ogóle jest sąsiad. Bo jedynym ideałem jest posiadanie własnego, rodzinnego domku o szczelnie zamkniętych drzwiach. Zresztą drzwi są szczelnie zamknięte nawet w domkach kilkurodzinnych i nie otwierają się nawet wtedy, gdy naciskasz guzik dzwonka przy odpowiednim nazwisku. Otwiera się natomiast okno na którymś piętrze, bo zanim się rzuci klucz, trzeba sprawdzić, co za intruz śmie zakłócać spokój domowego ogniska. Nie ma dozorczyń, każdy sprząta swoje piętro i czyści swoją ubikację, każdy marzy o domku dla siebie. Bez sąsiadów. Nawet robotnicy z rzadka tylko, raczej w południowych walońskich okręgach przemysłowych, mają poczucie przynależności klasowej. Tu, w Brukseli, Antwerpii czy Brugii, są potomkami wspaniałych mieszczan, którzy przekwitają teraz odgrodzeni od innych w wielkim samozadowoleniu. Jeżeli w dzień puste i wyludnione są ulice robotniczych gmin: Anderlechtu, Moteenbeeku czy Koekelbergu, to dlatego że wszyscy pracują. Wszyscy — ojciec, i matka, i dziecko natychmiast po opuszczeniu szkoły powszechnej. Szkoła średnia lub uniwersytet w arystokratycznej Ixelles są dla bogatych. Tu musi każdy pracować, bo płaca jednego członka rodziny ledwo wystarczy na życie — płaca wszystkich może dać i oszczędności, a potem domek na spłaty. W Forest, w Ganshoren, w Watermael jest ich już coraz więcej. Tych kilka powojennych lat, to był okres względnej prosperity w królestwie Belgów; domki wytyczają coraz więcej ulic, za małymi ogródkami i sztachetami odgradzają się od świata ci straszni mieszczanie różnych klas. Spaak może mówić, co chce, prywatne kopalnie węgla mogą pracować z deficytem, który musi pokrywać zgodnie z umową państwo, aby broń Boże właścicielowi nie zachciało się zamknąć kopalni, król może jechać na Kubę — byle tylko drzwi były szczelnie zamknięte, byle tylko automaty wyrzucały czekoladę.

Od Pałacu Króla ulicą Regencji schodzi się do Pałacu Sprawiedliwości. Zbudowany w tym samym stylu co gmach giełdy, od strony Pałacu Króla wydaje się względnie duży i potężny, gdy się nań patrzy z rue Haute. Bo Pałac Sprawiedliwości stoi na wzniesieniu i z rue Haute, do której się odwrócił tyłem, wydaje się niedosiężną potęgą. Rue Haute leży w dole i jest dziwnie i jakby przez pomyłkę w Brukseli umieszczoną ulicą biednych drobnych mieszczan i biednych robotników. Rue Haute to „quartier populaire" i od wspaniałej dzielnicy parku królewskiego oddziela ją Pałac Sprawiedliwości.

Na bocznej ścianie Pałacu tabliczka, że tyle i tyle metrów sześciennych cegły zużyto na jego budowę. Pod Pałacem jakieś dziwnie małe i brudne uliczki, rue des Prêtres i rue de Prévoyance, ulica Przewidywania. Nawet z wysokości Pałacu Sprawiedliwości można dostrzec dziury w dachach przeważnie drewnianych domków, podpartych tu i ówdzie balami i rozwalone śmietniki. To też jest Bruksela? Przy rue Haute, naprzeciw szpitala, kilka kolosalnych bloków. Na planie widnieje: „Cité ouvrière" i nawet nie oznaczono nazw ulic: ulicy Cieśli, Złotników, ulicy Tkaczy. Bo plan jest drukowany dla turystów, a tu są długie rzędy małych okien, pozawieszanych suszącą się bielizną, przepełnione śmietniki przed blokami i gromady zasmarkanych, brudnych dzieci. Tu nie ma nic do zwiedzania. Zresztą, czy to też jest Bruksela? Nie mogłem nawiązać rozmowy z tymi ludźmi. Są jeszcze bardziej nieufni i skryci niż reszta mieszkańców i nie odpowiadają na pytania obcego. Ale o kilka kroków dalej, na ulicy Filantropii, po raz pierwszy w Brukseli zobaczyłem napis „Niech żyje 1 Maja". Z Pałacu Sprawiedliwości nie było go widać.

Dalej rue des Renards obwieszona starymi ubraniami, obstawiona starymi garnkami i najrozmaitszymi „okazjami", wśród których pod bacznym okiem właściciela szperają klienci. Potem rynek na placu Gry w Piłkę i bary, gdzie ludzie rozmawiają i piją do siebie i to też jest Bruksela. Żyjąca ludźmi Breughla. Właśnie ulica jego imienia — podobno żył tu w tej dzielnicy — i Porte de Hal, ostatnia zachowana brama z dawnych murów Brukseli. Kręcą się pod nią prostytutki, obleśne, wymalowane baby zapraszają do podejrzanych kawiarenek z przyćmionym światłem, z dala dochodzi gwizd pociągu. To już Gare du Midi. Po drugiej stronie bramy Saint Gilles przedłużająca w tym odcinku brukselska quartier populaire. Ulica Anglii, ulica Rosji, Holandii, Szwecji, ulice biedy i prostytucji, ulice nędznych, tanich hotelików, ulice uciech za kilka groszy. Rue de France — karuzela za pół franka, magiczne lustro, zabawa w bokserów za 25 centimów „przepowiednie przyszłości" u Madame Augarity czy Madame Anity. Jakiś przekupień zachwala samopiszące przez 2 lata amerykańskie wieczne pióra nowego wynalazku, w budce smaży się kartofle na „frites" po 10 franków porcja, portier kina wykrzykuje, że u niego „idzie" w kolorach „Znak kobry". Zapada wieczór. Po całodziennej pracy przychodzi tu szukać rozrywki młodzież z rue Haute. Zza zrujnowanego Gare du Midi, który się obecnie naprawia, dochodzą gwizdy pociągów. Pasażerowie wysypują się przed dworzec na szeroki bulwar Maurice Lemmonier, który już zapala się neonami, by aż po Gare du Nord wytyczyć drogę mamiącą bogactwem.

Mariusz Margal

· Teatr · Teatr · Teatr · Teatr · Teatr ·

„Strzały na ulicy Długiej"

Miejskie Teatry Dramatyczne w Warszawie. — „Strzały na ulicy Długiej", sztuka w 3 aktach **Anny Świrszczyńskiej.** Reżyseria: **Irena Ładosiówna.** Dekoracje: **T. Błażejowski.**

Anna Świrszczyńska, dobra poetka, autorka wielu ślicznych wierszowanych książeczek dla dzieci, autorka „Śmierci Orfeusza", sztuki w typie sztuk Giraudoux, nagrodzonej przed wojną przez „Młody Teatr", wystawionej po wojnie w Krakowie i w Łodzi, zyskała sobie wśród ludzi interesujących się teatrem największy mir wspaniałym fragmentem utworu scenicznego pt. „W baraku", który zamieściło „Odrodzenie" dwa lata temu. Dotychczas jego całość nie jest gotowa, mimo że młodej autorce starano się dodać ducha licznymi pochwalnymi wzmiankami w prasie. Powstała natomiast pod jej piórem inna sztuka, która może nie otwiera przed widzem takich perspektyw jak próbka pt. „W baraku", niezależnie od tego jest sztuką wyjątkowo dobrą.

Tytuł ma głośny, sama w sobie jest uosobieniem dyskrecji i kameralności. Opowiada typową, seryjną historię z czasów „G.G.", zamykając ją tylko patetycznym finałem. Porusza konflikt, nad którym nieraz zastanawialiśmy się podczas lat okupacyjnych, zwłaszcza wtedy, kiedy chcieliśmy zapomnieć o poważniejszych zagadnieniach i o polityce. O konflikt ten zatrąca Świrszczyńska nie pierwsza, spotykaliśmy się z nim w różnych opowiadaniach i na scenie. Najostrzej nakreślił go Józef Mayen, autor sztuki pt. „Ci co wrócili", którą ośmielił się wystawić tylko jeden teatr w Polsce, częstochowski. U Mayena bowiem, sprawa postawiona jest bardzo drastycznie. Bohaterka jego sztuki oddaje się gestapowcowi, by uratować ukochanego mężczyznę. U Świrszczyńskiej Lola schodzi na psy, ponieważ trzeba jej pieniędzy na ratowanie męża. Mąż jej został wzięty do obozu, obskoczyła ją zaraz ludzka kanalia, rodzimą, obskubała z pieniędzy, rozhuśtała w niej nadzieje na interwencje, nauczyła i pić, i morfinizować się, i ciągnąć z mężczyzn forsę.

Świrszczyńska pokazuje nam Lolę u kresu: jeszcze jeden majstersztyk z pierścionkiem grubszej wartości. Lola wyłudza go od mężczyzny, z którym żyje i którego potrafi utrzymać w odpowiedniej temperaturze. Za późno, pierścionek jest zbyteczny, bo oto Lola otrzymuje wiadomość, że jej mąż zginął. Zmarł zaraz na początku, blisko trzy lata temu! Lola nie zdradza gościom treści listu. W stanie rozprzężenia nerwowego wyrzuca pierścionek przez okno, kompanię za drzwi, nie wyłączając kochanka, który zafundował wszystkim kolację, a jej na dodatek pierścionek. Lola zostaje sama. Chce się otruć. Całą torebkę weronalu, który nosi przy sobie od dawna, wsypuje do szklanki. I w tym momencie zjawia się w jej pokoju jeden z chłopców z zamachu na Długiej, z zamachu, o którym mówi się od początku sztuki. Zostaje u Loli, a kiedy fundator pierścionka rozwścieczony obecnością obcego mężczyzny naprowadza na dom Loli Niemców, sztuka dobiega kresu. Lola ratuje zamachowca, wskazując mu drogę przez strych i dachami dalej, sama zostaje z jednym z rewolwerów zamachowca w ręku, żeby opóźnić pościg. Gestapo wali do drzwi, ona przygasza światło, bierze do ręki broń i szepcze: „W imię Ojca i Syna..."

Sztuka jest napisana z niewątpliwym nerwem. Skomponowana doskonale. Szczuplutkiej historii starczy Świrszczyńskiej na trzy akty, tak umie nią rozporządzić, tak ją wydozować. Zachwyca dialogiem. W bardzo świetny sposób naturalnym. Teatralnie biorąc, sztuka jest bez zarzutu. Pełna nastroju, prostoty, dobrych efektów, którymi Świrszczyńska przymusza, by jej słuchać z napięciem. Szczególnie śmiały i cenny jest jej zwycięski opór stawiany licznym konwencjom. Chociażby tej konwencji, podług której umierać za Ojczyznę i dokonywać bohaterskich czynów wolno tylko uczciwym kobietom, najlepiej dziewicom. Ewentualnie półdziewicom, to jest takim pannom, które wszystko co miały dały, samą gołą cnotę zostawiając sobie na czarną godzinę. Według przeciętnych polskich pojęć ofiara takiej osoby jeszcze jest coś warta. Ofiara dziwki — nie! Świrszczyńska walecznie dopomina się o prawo do bohaterstwa dla upadłych kobiet. Zdobywa je. Zresztą z wielkim taktem. Wkoło bohaterstwa kokotki nie czyniąc w sztuce szczególnego hałasu. A nawet głusząc go. Zamachowiec, który jest w sztuce jedyną zdrową i w pełni pozytywną postacią, odnosi się do Loli sceptycznie. Jego ustami Świrszczyńska udziela swojej Loli nagany. — „Są jeszcze inne sposoby ratowania męża!" — powiada. Inne niż naciąganie mężczyzn. Myślimy sobie: pewnie, że są! Inne sposoby na zdobywanie grubszych pieniędzy. Za okupacji istniało ich kilka. Akt ekspropriacyjny z bronią w ręku? To nie dla Loli! Albo dobry interes! Ale na interes potrzebny był zawsze jakiś kapitał. Lola go nie ma. Cóż jej pozostaje? Tylko obracać kapitalikiem danym jej przez naturę. To niemoralne! Bez wątpienia. Cóż by wynikło, gdyby wszystkie kobiety poszły za jej przykładem? Społecznie i moralnie zło. Oczywiście! Ale w niejednym indywidualnym wypadku trzeba przyznać, że kazuistyka kompromisu brzmi przekonywająco. Z niemoralnością tak jest jak z alkoholizmem, który gubi narody, ale czasami przychodzi z pomocą jednostkom.

Bajecznie trudną rolę Loli wzięła na swoje barki **Janina Martini,** uginając się pod jej ciężarem. W momentach lirycznych, w momentach wzniosłych była doskonała, jako „Lola-kotka" była dobra, natomiast nie wychodziło jej stopienie w jedno tych dwu połówek jednej osoby. Nie udało jej się wydobyć z Loli, w trakcie jej momentów kokocich, rezerwy. Na kolanach swego gacha nie siadała tak, jak siadać winna przyszła bohaterka. W p. Martini nie czuć było przymusu. W przedostatniej wielkiej scenie trzeciego aktu, kiedy zabierała się do swego lowelasa, zabierała się po prostu. Nie jak przyszła Emilia Plater.

W pozostałych rolach wyborną postać fanatycznego zamachowca stworzył **Leon Łuszczewski;** wystarczająco przekonywającą kanalią, tą od donosów i od pierścionków, był **Józef Klejer;** miłego, pomylonego „wujcia" zademonstrował nam **A. Zintel.** Reżyseria **Ładosiówny** bez zarzutu. W epizodach: **Eleonora Lorentzowa** jako dama z półświatka do towarzystwa Loli i **Ryszard Piekarski** jako Franek. Najmniej wyraźna postać całej sztuki, ale to już z winy autorki, której życzyć należy w szczególikach mniej cytat z Platona i mniej morfinomanów, (trochę było z tym przesady), w całości jednak i szczerze i gorąco powinszować. Realizmu, dialogów, budowy, a przy tym pięknego, głęboko moralnego tonu, który odzywał się ze sztuki, mimo całej jej konkretności. Drżyj Zawieyski!

Tadeusz Breza

Myszy bez kota

Miejskie Teatry Dramatyczne. — „Szczęśliwe dni", komedia w 3-ch aktach: **Claude A. Puget.** Przekład: **E. Dziewońskiej.** Reżyseria: **Janusz Dziewoński.** Dekoracje i kostiumy: **K. i J. Golusowie.**

Beztroska ta komedyjka, odpowiednia do naszych nastrojów wiosennych, ma dobrze zbudowany, pełen dowcipu i przyjemnych przekomarzań oraz zręcznych sytuacji, pierwszy akt. W drugim śmiejemy się już raczej z rozpędu, w trzecim poczynają nas ogarniać krytyczne refleksje. Komedia przekształca się w melodramat, a kiedy w pewnym momencie oszalała z zazdrości, szesnastoletnia Pernette ucieka z domu w celu samobójczym, znajdujemy się o krok od mussetowskiego dramatu w „Nie igra się z miłością". Przeskok niczym nieusprawiedliwiony! Artystycznie wątpliwy. Uruchomianie melodramatycznych argumentów w obrazie czysto komediowym celem rozwiązania konfliktu jest błędem. Nic też dziwnego, że te wszystkie liryczno-dramatyczne sceny aktu trzeciego pachniały tandetą i nie można o to obwiniać zespołu.

Reżyseria „Szczęśliwych dni" poszła po szczęśliwej linii. Najlepszym „argumentem" okazały się trzy autentycznie młode i autentycznie przystojne wykonawczynie: **Janecka, Stępniakówna i Zielińska.** Z młodzieżą męską było trochę gorzej. Najlepiej przedstawiał się jeszcze **Jerzy Tkaczyk,** na którym rola grubasa leżała jak ulał. To zresztą zdolny młody aktor. **Mieczysław Piotrowski** ma za wiele rąk i nóg na scenie, a lotnik **Jerzego Michalewicza** — ten lotnik, który spada z nieba na młodziutkie towarzystwo, czasowo pozbawione rodziców, z dala od domu, goniących za własnymi interesami, i który w nienagannie czystym i świeżym kombinezonie (bezpośrednio po katastrofie!) rozkochuje w sobie wszystkie trzy panny, narobiwszy przy tej okazji piekielnego bałaganu — jeżeli w ogóle kiedy latał, to chyba tylko jako pasażer „Lotu". Tyle o jego warunkach na sportowca. Natomiast z warunków na lowelasa dałbym mu piątkę.

Poważny i raczej uzasadniony niepokój budzą wstawki muzyczne, dziejące się wokół zaczarowanego fortepianu. Po co robić komedię muzyczną tam, gdzie tak łatwo nam jest uwierzyć w uczucie i to bez pomocy śpiewu? Chyba żeby z tej komedyjki zrobić operetkę na całym froncie: dodać orkiestrę, niech wszyscy śpiewają, korpulentny Tkaczyk również. Niezależnie od samej zasady trzeba przyznać, że melodie **Wassowskiego** były bardzo udane, natomiast słowa do tych melodii nie bardzo.

Józef Słotwiński

· Książki · Książki · Książki · Książki ·

SATYRA

„DREWNIANA KOSZULA" Władysława Smólskiego

Humoreski. Warszawa, „Wiedza". 1948; str. 118.

Dwadzieścia osiem humoresek, zawartych w tej książce stanowi znakomity środek na powstrzymanie wesołości i wywołanie melancholii u najodporniejszego nawet czytelnika. Wielkim wrogiem humoru jest nuda. W „Drewnianej koszuli" nuda panuje wszechwładnie i tłumi bardzo nieliczne iskierki komizmu.

Nużąca rozwlekłość, to jedna z zasadniczych wad omawianych utworów. Wokół jakiegoś błahego i bardzo już ogranego konceptu owija autor fabułę humoreski, przedłużając ją — w celu zwiększenia mąk czytelnika — metodą ciągłych powtórzeń, nawrotów, po których nieuchronnie następuje smutna i przewidywana od samego początku pointa.

Intencje autora są na ogół piękne, odnoszące się do aktualnych bolączek społecznych, ale cóż po zamiarach, skoro w rezultacie otrzymujemy, zamiast satyry, przydługie rozprawki dydaktyczne, wyprane z humoru, a nieraz obfitujące również w błędy językowe.

Nie brak u Smólskiego zgoła fantastycznych morałów; w jednej humoresce radzi z powagą uczyć ludzi uprzejmości za pomocą „bicia w mordę", w innej dowcipkuje na temat urzędnika, który po śmierci ubiega się o miejsce w raju, u którego bram informator każe mu się powołać na dwie osoby z nieba:

„ — A jakżeż ja mogę wiedzieć, kto poszedł po śmierci do raju! — powiada urzędnik.

— Niech pan poda dwie osoby zamęczone przez Niemców, a my już resztę sprawdzimy".

Powyższy cytat dobitnie świadczy o jakimś *sui generis* daltonizmie moralnym, przybierającym niekiedy bardzo rażące kształty.

Czytelnik nasz ma poczucie humoru. Dlatego dozna przykrego rozczarowania po przeczytaniu tej książki.

Trudno darować humoreskom zupełny brak humoru, komizmu czy dowcipu. Ostrze takiej satyry, pozbawione siły wyrzutu, a więc czynnika niezbędnego do osiągnięcia celu, nie może działać skutecznie, a tym samym zostaje sparaliżowana funkcja satyry.

Wskutek tego „Drewniana koszula" nie tylko nie przedstawia żadnych walorów w dziedzinie „czystego humoru", lecz również — w konsekwencji — nie spełnia jako satyra swych funkcji społecznych.

Jerzy Ficowski

W poprzednim 20 (181) numerze „Odrodzenia" z dnia 16 maja 1948 r.: Współczesna poezja chińska w przekładzie **Cz. Miłosza.** — **Jerzy Borejsza:** Krochmalizm czy realizm? — **Anna Kowalska:** Opowiadania greckie. — **Michał Rusinek:** Na zielonym globie. — **Wojciech Żukrowski:** Ręka ojca (6). — **Jan Lenica:** O karykaturze współczesnej. — **Stanisław Szenic:** Stara Warszawa na trasie W—Z. — **Tadeusz Breza:** Krasnowiecki i inni. — „Romans z Ojczyzną". — **Maria Rzeuska:** Czy mieliśmy poetów w XVIII wieku? — Kronika francuska. — Beletrystyka („Ziarno gorczyczne" E. Szelburg-Zarembiny, „Wędrówka renów" Allen Roy Evansa); — Teatr: („Historia teatru w Polsce" Cz. Strzeleckiego). — Essay: („Od Szekspira do Joyce'a" Stanisława Helsztyńskiego); **Zygmunt Mycielski.** Notatnik muzyczny: Rok Chopinowski 1949. — **Mariusz Margal:** Aby język giętki... Camera obsura. — 15 ilustracji. — 8 stron.

Notatnik muzyczny

Amerykanie, Gitlis Cassini, XXX koncert symfoniczny

Nie mogłem, niestety, usłyszeć koncertu współczesnej muzyki amerykańskiej, który zorganizował w Muzeum Narodowym Związek Kompozytorów Polskich. Na wstępie wykonany został „Kwartet na tematy murzyńskie" D. G. Masona, odegrany przez „kwartet krakowski" (S. Tauros, Z. Szlezer, T. Gonet, Z. Adamska). Sonatę na flet z fortepianem Waltera Pistona odegrał J Gawrylak i J. Lefeld, a Grażyna Bacewiczówna wykonała — przy akompaniamencie J. Lefelda — sonatę skrzypcową Quincy Fortera. Na zakończenie Olga Łada odśpiewała kilka „Negro Spirituals" — które mogą być uważane za murzyński folklor amerykański.

Warto koncertami takimi obejść całość muzyki współczesnej. Zwłaszcza muzycy i melomani powinni się zapoznawać z dziełami, leżącymi poza horyzontem zwykłych programów. Bez muzyki kameralnej nie może istnieć normalne życie muzyczne. Dobrze by było poświęcić choćby raz na miesiąc jeden wieczór, by się zapoznać z twórczością jakiegoś kraju. Do takiej kuźni muzycznej nie warto — oczywiście — mieszać polityki. Kwartet, pieśń czy symfonia są dobre lub złe, bez względu na narodowość kompozytora. W programie amerykańskim najwięcej pochwał słyszałem o sonacie W. Pistona.

W sali YMCA nasi goście angielscy, skrzypek Ivry Gitlis i pianista Leonard Cassini dali wieczór sonat skrzypcowych (Schubert, Beethoven Franck). Słuchanie dziś sonat klasycznych wydaje mi się zawsze wycieczką w świat nieubłaganego spokoju, podróżą w jakiejś maszynie wellsowskiej. Zdumiewająca jest ta forma sonaty, im większe koziołki robi świat, tym bardziej sonata nieruchomieje, przybiera hieratyczne, bizantyjskie oblicze. Cała wykonywana dziś muzyka nasza kręci się dokoła tej formy: moglibyśmy wszystkie dzieła podzielić wedle ich bliższego czy dalszego, pozytywnego lub negatywnego stosunku do formy sonatowej. Z takiej perspektywy słuchanie arcydzieł literatury sonatowej staje się rozkoszą, jak jazda po ogrodach Semiramidy. Świat, którego już nie ma, a który nagle staje się realny i dotykalny, dzięki naszym tak ograniczonym zresztą możliwościom słuchowym. Dialogi, powroty i przypomnienia tematów, dialogi instrumentów, niknące w pauzach zakończenie adagia jest u Beethovena igraniem fantazji z szablonem formy, przy czym forma ta nigdy nie przeszkadza fantazji, przeciwnie, pomaga jej i zapładnia, chroniąc przed ześliźnięciem się w chaotyczne widzi mi się „natchnienia". Toccaty i fantazje Bacha czy Mozarta są przy takich dziełach przedziwnymi eksperymentami artystycznych rewolucjonistów. Beethoven chodzi po linie łączącej dwa światy. Dzięki niemu dwa różne wieki muzyczne stają się jedną i tą samą szkołą, łączącą muzykę od XVII po XX wiek.

Gitlis gra bardzo kulturalnie, bardzo wyczuwa styl i pragnie go ożywić i „uduchowić" częstym używaniem portamentów. Cassini „trzyma" wspaniale partię fortepianu. Cofa się na drugi plan, wydobywa tematy, wysuwa naprzód we Francku.

Publiczność nasza, zbyt późno powiadomiona o tym wieczorze sonatowym, oblepiła za to dosłownie wszystkie miejsca, ganki i schodki „Romy" na wiadomość o udziale niewidomego pianisty węgierskiego Imre Ungara, laureata warszawskiego Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego w 1932 roku, w XXX koncercie symfonicznym. Wiadomość ta zmobilizowała wszystkich naszych „pianistomanów". Okazało się, że umiemy być wierni i że trzon publiczności piątkowej, to ci sami, nieustraszeni bywalcy z gmachu przy ulicy Jasnej.

Tadeusz Wilczak dał nam na wstępie uroczą uwerturę Karola Kurpińskiego do „Królowej Jadwigi". Po nieco długim wstępie „pomposo" przychodzi lekkie, rossiniowskie, lśniące allegro. Wprowadzony potem na estradę Ungar odegrał koncert f-moll Chopina. Jest on zawsze zdumiewającym przykładem siły woli, która pozwoliła mu zapanować nad losem i sprawia, że Ungar może się mierzyć z najpoważniejszymi asami klawiatury. Niewielu pozwolić sobie może na odegranie z takim umiarem, tak wolno i tak cicho mazurka na „bis".

Na zakończenie programu wykonana została symfonia d-moll Cezara Francka. Dzieło to zachwycające mnie ongiś, wydało mi się, po latach, przyciężkie, trącące tu i ówdzie „pompieryzmem". (Do wyjaśnienia tego terminu przystąpię jeszcze!). Przed znużeniem czy nawet pewną nudą, która z niektórych arcydzieł wiać może, chroni przede wszystkim jakieś fascynujące i porywające, „genialne" wykonanie. To, co dają najwięksi wirtuozi, na przykład Pablo Casals, który mógłby zagrać zwykłe ćwiczenie, gamę — a sala będzie zasłuchana. Franck, jak tylu największych, wymaga instrumentu o dłuższej niż u nas zespołowej tradycji. Oczywiście, nie należy tu stosować grymasów krytycznych, jak to słyszałem od tych, którzy porównywać próbują najlepsze w świecie zespoły z naszą młodą ośmiomiesięczną orkiestrą. Lecz przecież, jeśli mamy dojść do czegoś, reprezentującego godnie naszą muzykę, i to w dodatku w stolicy, musimy pamiętać zawsze, jak brzmią właśnie najlepsze i najsławniejsze zespoły. Grzechy powstałe z zapomnienia, nieświadomości, machnięcia ręką i „jakoś tam będzie", stanowisko: „Na nasze warunki to już nieźle", mści się na sztuce w sposób okropny i zachwaszcza życie artystyczne na całe pokolenie. Czasami na dłużej. Musimy myśleć nie tylko o XIX ale i o XXI wieku żeby dojść do czegoś, co warte jest życia.

Zygmunt Mycielski

Korespondencja

W SPRAWIE BŁĘDÓW JĘZYKOWYCH

Do redaktora „Odrodzenia"

W nrze 19 „Odrodzenia" p. Henryk Korotyński w artykule „Język prasy na cenzurowanym" wytyka mi błąd gramatyczny, popełniony jakoby na str. 122 „Miasta niepokonanego".

Sądzę, że czytelnik, obdarzony jako taką bystrością, łatwo odgadnie, komu błąd ten należy przypisać. Zdanie w druku brzmi następująco:

„Tak więc pewnego dnia wkroczyliśmy z garstką tobołów w życie czworga ludzi. Los wojny miał nas ściśle z **nami** złączyć".

Oczywiście, absurd. Nawet nie gramatyczny, ale po prostu logiczny. Korektor nie dostrzegł omyłki w jednej literze, na skutek czego wyszedł dziwoląg. Właściwy tekst w rękopisie brzmi:

„Los wojny miał nas ściśle z **nimi** złączyć".

Przykro mi, że p. Korotyński zadał sobie trud, aby skomplikować sprawę tak prostą.

Co do innych nieprawidłowości językowych, które p. Korotyński spostrzegł w książkach współczesnych literatów (użycie czwartego przypadku zamiast drugiego, słowa „dzięki" zamiast „wskutek" — to podejmuję się przedstawić liczne dowody, że zdarzają się one w tekstach klasyków naszej literatury, nie wyłączając trójcy wieszczów. Fakt, że wśród przykładów cytowanych przez p. Korotyńskiego znalazły się „Nowele włoskie", utwór jednego z największych stylistów — jest wymownym tego świadectwem.

Kazimierz Brandys (Łódź)

W SPRAWIE „ZNAKÓW"

Do redaktora „Odrodzenia"

W nr. 18(179) „Odrodzenia" w dziale „Camera obscura" postawiono mi pytanie, czy wiem o tym, że na drugiej stronie „Znaku" wydrukowano mój wiersz „Jak mi nie wierzyć..." (przedruk z „Piątej Ewangelii").

Chętnie służę ciekawemu „camerzyście" odpowiedzią:

a) Dopiero od niego dowiedziałem się o istnieniu pisma „Znak" wydawanego w Szwecji;

b) Nie wiem, jaką interpretację podłożono pod mój wiersz. Dość długie życie nauczyło mnie tego że podkładano najróżniejsze i najsprzeczniejsze interpretacje pod moje utwory, że przypomnę choćby niezwykle dowcipną interpretację p. Pregerówny w tym samym „Odrodzeniu", gdzie doszukała się ona z zadziwiającym „ostrowidztwem krytycznym" faszyzmu w moich wierszach, umiłowania krwi, sadyzmu itd. Nie uważam za obowiązek pisarza prostowanie wszystkiego, co komukolwiek wpadnie do głowy w związku z jego utworami.

c) Co do rozpaczliwych „znaków" — to podziwiam domyślność „camerzysty". Co do mnie, to nie odznaczam się tak wyostrzoną domyślnością. Trudno mieć mi o to pretensje do Opatrzności, która w różnoraki sposób rozdzieliła dary fizyczne i umysłowe. Nie mam jej.

Wojciech Bąk

F I L M

„POLSKA"

film produkcji radzieckiej

Dwaj filmowcy radzieccy z Centralnego Studia Filmów Dokumentarnych w Moskwie — Leonid Dartonow i Aleksander Kuzniecow, nakręcili w Polsce 12 tysięcy metrów filmu. Dodali do tego nadzwyczaj ciekawe zdjęcia z niemieckich archiwów filmowych, zdobytych w Berlinie, szereg fragmentów z Polskiej Kroniki Filmowej i z tego wszystkiego zmontowali razem 1.800 metrów reportażu o Polsce.

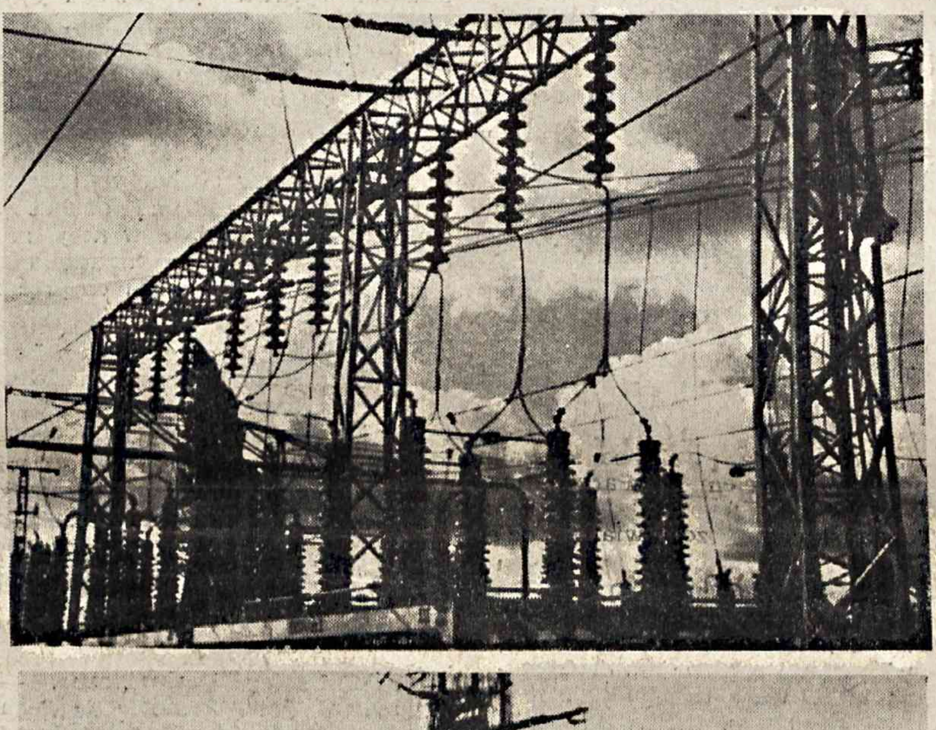
Okazuje się, że spojrzenie cudzoziemca — przepraszam, życzliwego cudzoziemca — potrafi dopatrzyć się pewnych rzeczy nowych w naszym najbliższym otoczeniu. Jak dotąd, zjawisko to było znane z praktyki dziennikarskiej, kiedy to bawiący przejazdem w jakimś miasteczku reporter nieraz dostrzegał w nim więcej ciekawych rzeczy niż zasiedziały tam od lat korespondent. Film „Polska" nie pokazuje nam jednak żadnych frapujących tematów, nie ma w nim pogoni za sensacją czy ciekawostkami, natomiast zupełnie nowe jest ujęcie tych samych „modeli", które widzieliśmy już w naszych aktualnościach czy filmach dokumentarnych. Film ten jest doskonałym skrótem, pozbawionym dłużyzn. Obiektyw operatora Kuzniecowa szukał tematu w całej Polsce — mamy doskonałe zdjęcia z Tatr i ze Szczecina z Opola i Warszawy. Nie należy przy tym sądzić, że są one połączone w jakaś całość przypadkową: od legendarnej kolebki polskości w Gnieźnie poprzez Kraków aż do wybuchu wojny światowej zestawione fragmenty wprowadzają widza w samą istotę tematu. Później następuje szereg dokumentarnych zdjęć niemieckich, obrazujących napaść na Polskę w roku 1939, oblężenie Warszawy, terror i prześladowania ludności polskiej. Komentator czytający tekst objaśniający, pióra Wandy Wasilewskiej, przypomina przy tym dwukrotnie z naciskiem, że na tysiąc swych mieszkańców straciła Polska 220. Na ekranie ukazują się ciekawe zdjęcia z pierwszych posiedzeń podziemnej Krajowej Rady Narodowej i walk partyzanckich, oraz z formowania i bojów wojsk polskich w ZSRR. Ciekawe zdjęcia z powstania warszawskiego i oswobodzenia kraju po przełamaniu „wału środkowo-europejskiego" są ostatnimi zdjęciami archiwalnymi w tym filmie. Wymienianie dalszych, nakręconych już przez samą ekipę radziecką, byłoby bezcelowe, ponieważ — jak wspomniałem — nowością jest tu podejście do tematu.

Muzyka Wiktora Smirnowa oparta jest na melodiach polskich i umiejętnie wpleciona w podkład filmu, tak że nie głuszy komentarza.

W sumie — „Polska" nosi wszelkie cechy filmu dokumentarnego, który posiada niezaprzeczone walory artystyczne. Jedną z przyczyn jest fakt, że obraz ten o niewątpliwie propagandowym nastawieniu, ni pokazuje ani razu uroczystej akademii — jednej z tych, które przynosi nam w każdym wydaniu nasza kronika filmowa!

Warto by dla porównania zobaczyć teraz film o Polsce nakręcony w roku ubiegłym przez ekipę amerykańską „March of Time". Kto wie, czy zapoznawszy się z pracą obu największych producentów filmowych świata nie moglibyśmy zakrzyknąć, wzorem anegdotycznych Indian witających Krzysztofa Kolumba: „Wiwat! Jesteśmy odkryci"!

Lucjan Wolanowski





„STALOWE SERCA"

film produkcji polskiej

Jeszcze raz mamy na filmie potwierdzenie fotogeniczności maszyn w ruchu, jeszcze raz doskonałe zdjęcia i ilustracja muzyczna przenoszą widza kinowego w samo serce kopalni, huty czy walcowni.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że film jest doskonałym reportażem ze Śląska, do którego wprowadzono dodatkowo akcję. Akcja ta jest słabą stroną obrazu: pokazuje nam sabotaż na Śląsku, przedstawiony jednak według recepty „jak sobie mały Władzio wyobraża konspirację". Naiwność sytuacji jest często uderzająca. Rażą zwłaszcza sylwetki Niemców, tak doskonałe i autentyczne w „Ostatnim etapie", a tak nieprawdziwe w „Stalowych sercach".

Trzeba tu stwierdzić, że „Stalowe serca" mają pecha, wyraźnego pecha, że pojawiły się w tym czasie. Mamy bowiem wszyscy w świeżej pamięci film o Oświęcimiu, na ekranach Polski idzie obecnie doskonały reportaż z konspiracji francuskiej („Bitwa o szyny"), oglądaliśmy wreszcie film czeski („Ludzie bez skrzydeł"), tematycznie bardzo pokrewny „Stalowym sercom". Uświadomienie sobie tego faktu powinno nam umożliwić spojrzenie na ten czwarty, średniometrażowy, powojenny film polski z perspektywy nowych wartości, jakie niewątpliwie wnosi.

Zaliczę do nich silne podkreślenie wspólnoty, łączącej Śląsk z ośrodkiem dyspozycyjnym — Warszawą, heroizmu Ślązaków, niszczących swe warsztaty pracy, aby nie służyły wrogowi i walczących o zabezpieczenie ich w obliczu nadchodzącego wyzwolenia. Niestety, dobra wola twórców filmu nie zawsze została uwieńczona sukcesem. Już od początku przeciętny widz kinowy, który w życiu swoim nie był w kopalni ani hucie, gubi się w akcji; trzeba się na tym choć trochę znać, aby wiedzieć, że pokazana jest produkcja płyt pancernych, które następnie poddaje się próbom, a już przeznaczenie tajemniczego barku, gdzie przebywają Polacy, jest dla widza do samego końca niezbyt zrozumiałe. Rada od serca: kilka zdań na początku filmu — powiedzmy w formie dedykacji — może wiele wyjaśnić.

Właściwymi aktorami tego filmu, są maszyny. Ich dynamika przyciąga uwagę widza. Ludzie, pokazani przy pracy — doskonali. Skoro jednak na nich właśnie koncentruje się soczewka aparatu, to gra ich trąci mocno patosem — tym starym grzechem polskich filmów. Inna rzecz, że scenariusz nie daje aktorom pola do popisu, gdyż stwarza sytuacje mocno naciągnięte, z których wyjście może wieść tylko przez furtkę naiwnej przesady.

Lucjan Wolanowski

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura"**. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 14,** dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć,** najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 1000 zł.,** którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

W odróżnieniu od tygodnika „Odrodzenie", nagroda literacka „Camery" przyznawana jest co tygodniowo. W ubiegłym tygodniu otrzymał ją Adam Czekalski za powieść „Skarb Wielkiego Mongoła", drukowana w IKP. Honorarium złotych 1000 przesyłamy ob Stan. Drobołowiczowi, Tczew, Kolejowa 5, za następujące wycinki:

MUSKUŁ MURGUŁA

Murguł stał na dole i, podtrzymując schody, zachęcał Olesia do coraz wyższego wdzierania się.

Okrzykiwali się wzajemnie z dołu do góry i odwrotnie, a babu co chwila powtarzał:

— Gdy już będziesz na szczycie, Sahibie, powiedz mi o tym.

— Dobrze, dobrze, babu, trzymaj tylko mocno schody, aby się nie obsunęły.

Widok, jaki rozciągał się ze szczytu tej baszty, wart był tej drogi od Simli i Aleksander, patrząc teraz na okolicę, nie żałował tego bynajmniej.

Ale nagle rozległ się pod nim głuchy trzask, potem huk piekielny i tuman pyłu wzbił się aż ku niebu.

— Hej, babu, co się tam stało?

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Nachylił się więc nad schodami i spróbował przeniknąć wciąż jeszcze unoszący się pył. Potem zawołał:

— Murguł, hej Murgul!

Złośliwy chichot odpowiedział mu z dołu i skrzypnięcie zawias przy drzwiach wejściowych do baszty.

Gdy pył opadł zupełnie, Aleksander zobaczył pod sobą przepaść, głębokości co najmniej trzech pięter. Spiralne schody, po których wylazł na wierzch zwaliły się i runęły w dół.

Złośliwemu Murgułowi znudziło się podtrzymywanie spiralnych schodów, wysokości trzech pięter. Cofnął potężną dłoń, schody runęły i „tuman pyłu wzbił się aż ku niebu". Tuman opadł do redakcji IKP, gdzie już pozostał.

CO MA PIERNIK DO WIATRAKA

„Ekspress" donosi:

Bokser angielski Freddie Mills, jeden z lepszych zawodników europejskich wagi ciężkiej, który sztukę pięściarską opanował dość dobrze, nie może sobie poradzić z użyciem pałeczek w restauracji chińskiej, gdzie przyszedł na obiad. Okazuje się, że sztuka boksowania dla niego jest łatwiejsza, niż sztuka jedzenia chińskim sposobem.

Nic w tym osobliwego. Nie wymagamy od boksera umiejętności władania chińską pałeczką, wymagamy natomiast od dziennikarza umiejętności władania językiem, nie chińskim, lecz polskim.

CHODZI MI O TO, ABY JĘZYK GIĘTKI...

Tygodnik literacki „Dziś i Jutro" ogłasza listę nagrodzonych pisarzy katolickich. Czytamy:

W dziedzinie literatury spośród wyróżnionych pisarzy — Wojciecha Bąka, Zbyszka Bednorza, Antoniego Gołubiewa i Wojciecha Żukrowskiego, jako autora cyklu opowiadań „Z kraju milczenia", nagrodzić sumą 150.000 zł Hannę Malewską, ze specjalnym wyróżnieniem powieści „Kamienie wołać będą".

W dziedzinie publicystyki spośród wyróżnionych publicystów Jerzego Brauna, Wojciecha Kętrzyńskiego, Walentego Majdańskiego, Eugeniusza Paukszty i ks. Jana Piwowarczyka, nagrodzić sumą 150.000 zł Pawła Jasienicę. Ze specjalnym wyróżnieniem cyklu artykułów o Ziemiach Odzyskanych, opublikowanego w tygodniku Powszechnym.

Nie sądzimy, by intencją redakcji było zakomunikować nam, że spośród czterech pisarzy nagrodę otrzymał piąty, a spośród pięciu publicystów — szósty. Język giętki nie powiedział tego, co pomyślała głowa, prawda?

Z CYKLU: „TYTUŁY „WIECZORU"

RYBY
jak szalone
pędziły
do polsk'ch sieci

...wystraszone tytułami „Wieczoru"

WODNIAKI

„Echo Krakowa" donosi:

Tempora mutantur.

W salach odnowionego Zamku poznańskiego, w salach, gdzie nie tak dawno jeszcze panoszyła się buta germańska, gdzie brutalny żołdak pruski szurgał swoimi ciężko podkutymi buciarami, a SS-mani zapewniali obronę do ostateczności i mimo to nie obronili się, otóż w salach tych odbył się onegdaj Zjazd kajakowców.

Świadomość, iż właśnie w tych samych salach, w których Greiser huczał zapowiedziami o zagładzie narodu polskiego, dokąd i Hitler i Himmler i inni dygnitarze hitlerowscy wcale często zajeżdżali, odbywa się Zjazd polskich wodniaków.

...że tu po bezpowrotnie minionych czasach okupacji na odwiecznie polskich ziemiach mocno stanęła silna stopa polska, świadomość ta napełniła kajakowców pewnego rodzaju dumą.

Na tymże wiekopomnym zebraniu w murach prastarego zamczyska, gdzie wcale często Hitler, Himmler... (patrz wyżej) obrano jednogłośnie autora cytowanej wzmianki prezesem Wszechpolskiego Związku Wodniaków.

CO WY TU ROBICIE?

W „Sztandarze Ludu" z 30.IV. czytamy:

W dniu dzisiejszym zostaje oddany do użytku most kołowy na Wiśle koło Annopola (pow. Kraśnik), budowa którego trwała ponad dwa lata. Nowy, od filarów do krawędzi wybudowany most o długości 960 metrów połączy województwo lubelskie i rzeszowskie.

O tym moście mówi przysłowie: „Polski most, niemiecki post, cygańskie nabożeństwo, to wszystko błazeństwo..." Oba województwa wymienione w notatce „Sztandaru Ludu" leżą, jak dotąd, po prawej stronie Wisły, a most pod Annopolem łączy Lubelskie z... Kieleckiem. Mosty-efemerydy, mosty-błazeństwa istnieją w Polsce już tylko na łamach prasy.

Z CYKLU: „UCZYŁ MARCIN MARCINA"

W „Tygodniu" z 2.V znajdujemy następującą informację:

1775 ur. się malarz angielski Wiliam Szekspir.

Wiliam Szekspir urodził się, jak powszechnie — z wyjątkiem red. „Tygodnia" — wiadomo, w roku 1564. O tym natomiast, że był malarzem, nikomu — z wyjątkiem red. „Tygodnia" — n i e wiadomo.

STAROŚĆ ZACZYNA SIĘ PO DWUDZIESTCE

We wtorek, 11 maja odbyła się w Warszawie wielka manifestacja dwudziestoletnich warszawianek, protestujących przeciwko następującej notatce „Wieczoru":

Napad na Świętojańskiej. Nieprzytomnej staruszce zrabowano zegarek.

Napadnięto i okradziono w mieszkaniu przy Świętojerskiej 14 na Starówce wczoraj 20-letnią Bronisławę Życiak.

Jak się później okazało, napadu na dwudziestoletnią staruszkę dokonał młody, pięcioletni mężczyzna, reporter „Wieczoru".

MAKABRYCZNY „WIECZÓR"

Spełniając prośbę naszych czytelników przytaczamy jeszcze jeden przykład braku umiaru w tytułach „Wieczoru":

Z mostu na łeb na szyję spadł autobus

AUTOBUS komunikacyjny na szlaku Łódź — Turek spadł z mostu pod Kołem i stoczył się w dół. W autobusie jechało 10 osób. Wszyscy pasażerowie odnieśli bardzo ciężkie obrażenia. Rannych przewieziono do szpitala w Kole.

Kto upadł „na łeb na szyję?" Ofiary katastrofy? Chyba autor tytułu!



REDAGUJE ZESPÓŁ. Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, telefon 85-588 — Redaktor przyjmuje od godz. 9 do 10. — Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 14, telefon 87-112 Konto w PKO nr I-4739.
Drukarnia nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5 Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł B-48385 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"